

Rok XXXVIII

Nr e-216 (412)

Październik 2024

# NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



# SPIS TREŚCI – PAŹDZIERNIK 2024

## Z NASZEGO REGIONU

Tylko drzewa tylko liście .....	<i>Witold Komorowski</i> .....	3
Kamień upamiętniający założyciela pensjonatu Försterbaude w Chełmsku Śląskim .....	<i>Marian Gabrowski</i> .....	10
Cysterski kamień graniczny z muzeum w Kamiennej Górze .....	<i>Marian Gabrowski</i> .....	13
Grób dr. h.c. Hugo Seydela na cmentarzu komunalnym w Jeleniej Górze .....	<i>Ulrich Junker</i> .....	17
Masyw Okola i Leśniaka w Górach Kaczawskich .....	<i>Krzysztof Gdula</i> .....	19
Na Śnieżnik przez Międzygórze .....	<i>Julia Kiestrzyn</i> .....	22

## OJCZYSTE SZLAKI

Kładka w miejsce Zerwanego Mostu w Krościenku .....	<i>Ryszard M. Remiszewski</i> .....	25
Co było, a nie jest, nie pisze się (???) w... ..	<i>Tomasz Kowalik</i> .....	27
Muzeum czekolady jakiego nie było .....	<i>Tomasz Kowalik</i> .....	29
Na rowerze przez Beskid Sądecki, Pogórze, Beskid Niski i Pieniny. Część 4. – ostatnia. Finał, czyli za plecami Wysokiej i nad Dunajcem .....	<i>Juliusz Wystouch</i> .....	31
Trzy domy. Jarosław .....	<i>Mirosław J. Barański</i> .....	34

## WYGODNIE I BEZPIECZNIE

Nie tylko „Szpilki na Giewoncie”. Krótkie refleksje powakacyjne ..	<i>Juliusz Wystouch</i> .....	37
--	-------------------------------	----

## GLOBTROTER

Wybierz się na zakupy na zabytkowy Wielki Bazar, jedno z najstarszych centrów handlowych na świecie .....	<i>Biuro prasowe Biura Radcy ds. Kultury i Informacji Ambasady Turcji w Polsce</i> ..	40
Białe Wybrzeże Swiatosława .....	<i>Janusz Fuksa</i> .....	42
XXV Jubileuszowe Spotkanie Śladowe „Na Szlaku” Schronisko na Turbaczu 1 – 5 marca 2025 .....	<i>Juliusz Wystouch</i> .....	44

## Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

30. spacer historyczno-krajoznawczy – otwarcie Skweru PTTK “Sudety Zachodnie” .....	<i>Krzysztof Tęcza</i> .....	45
Wiadomości o Dolnym Śląsku z 1947 r. (40) .....	<i>Józef Sykulski</i> .....	48

## SYLWETKI „NA SZLAKU”

Krzysztof Łopaciński (1945-2023) – kim był, czym się zasłużył ..	<i>Tomasz Kowalik</i> .....	49
--	-----------------------------	----

## LISTY, OPINIE, DYSKUSJE

Suplement do „Źle się dzieje na Przehybie” .....	<i>Juliusz Wystouch</i> .....	53
SUDETY W POEZJI (22) .....	<i>Jan Koprowski</i> .....	54

**Na okładce: Nowa kładka pieszo-rowerowa nad Dunajcem w miejscu Zerwanego Mostu w Krościenku.  
Fot. Ryszard M. Remiszewski**

## Tylko drzewa tylko liście

Spośród wielu wspaniałych tekstów Jonasza Kofty „Pamiętajcie o ogrodach”, mimo że napisany w odległych czasach, kiedy w kabaretach (*sic!*) znajdowała jeszcze swoje miejsce poezja, mógłby teraz być poetyckim hymnem ekologów. Nawet wyrwane z kontekstu słowa refrenu: *W żar epoki użyć wam chłodu tylko drzewa tylko liście* można traktować dosłownie i ... profetycznie. Już blisko 500 lat temu Kochanowski zachwalał lipę, kiedy pisał: *Gościu, siądź pod mym liściem, a odpoczni sobie! Nie dojdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie*, ale często myślimy też o innych „opiekuńczych” drzewach, jakimi są rozłożyste dęby, platany czy potężne buki. Szczególnym uznaniem zawsze cieszyły się dęby; w wierzeniach ludowych uważano, że były pierwszym drzewem stworzonym przez Boga, czasem przypisywano im własności lecznicze, a nawet magiczne. W nowożytnym systemie ochrony przyrody takie obiekty o szczególnych wartościach wyróżnia się ustawowo i określa jako pomniki przyrody oznaczane skromną plakieta z godłem Polski na zielonym tle. W Polsce jest ponad 36,5 tys. pomników przyrody, a ponad 90% z nich stanowią właśnie drzewa lub grupy drzew; w samym Wrocławiu objętych ochroną jest 187 drzew, w tym aż 116 dębów i platanów.

Ostatnimi laty największą „ogładalność” ma zapewne dąb „Przewodnik” rosnący przed głównym wejściem galerii Wrocławia, przy ul. Suchej. Wbrew wielu obawom, kilkuletnia budowa tego kompleksu mu nie zaszkodziła, a nawet przeciwnie – dąb zyskał specjalną opiekę, zabezpieczenie i świetną ekspozycję. Jego gigantyczna korona na tle rozczłonkowanej fasady galerii świetnie się prezentuje o każdej porze roku, a jesienią – szczególnie. Obecna, troszkę zaskakująca nazwa dębu została zaproponowana przez... przewodników miejskich.

W latach powojennych wśród odkrywanych osobliwości miasta wymieniano dąb rosnący przy ul. Wróblewskiego w sąsiedztwie zajezdni tramwajowej. Biskupin był bardziej znany (okolice Hali Ludowej, ZOO, Parku Szczytnickiego, tereny Wystawy Ziem Odzyskanych z 1948 r.) niż np. troszkę niebezpieczne o zmroku okolice „Małpiego Gaju” za Dworcem Głównym, gdzie stoi i stał „Przewodnik”. Zgodnie z ówczesną polityką historyczną, nawiązującą do czasów piastowskich, wielki



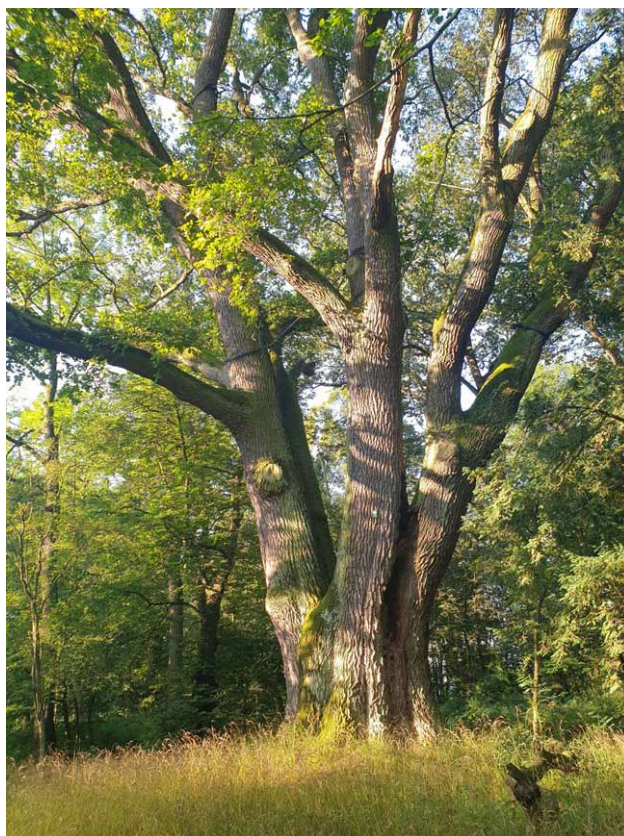
Tabliczka przed pomnikowym platanem



Jesienny „Przewodnik”



**Dąb Piotra Włosta**



**Zrośnięty dąb „Paweł”**

dąb nazwano (uchwała z początku 1953 r.) imieniem **Piotra Włostowica**, wielce zasłużonego dla Śląska pałatyna Bolesława Krzywoustego. Poprzednio upamiętniał Reinharda Jurischa, literaturoznawcę, m.in. nauczyciela Gerharta i Carla Hauptmannów. Do dziś zachowało się przy nim eleganckie niskie ogrodzenie żeliwne, zapewne jeszcze przedwojenne, a przed nim leży kamień z napisem DĄB PIOTRA WŁOSTA.

Największym, a w każdym razie najgrubszym ze wszystkich dębów wrocławskich, jakie spotyka się w parkach i np. na wałach nadodrzańskich, jest dąb „**Paweł**” w parku przy dawnym pałacu Kornów w Pawłowicach – obecnie w zarządzie Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. „Paweł” rośnie wśród starannie utrzymanej zieleni tuż przy stawie pałacowym i ma blisko 7,8 m obwodu zmierzonego na wysokości 130 cm. Ta ostatnia uwaga jest istotna, bo ze względu na to, że drzewa miewają dość nieregularne kształty, przyjęto precyzyjnie definiować obwód pnia jako *najmniejszy, który da się zmierzyć w zakresie od poziomu gruntu do wysokości 130 cm*. Obwód na poziomie 130 cm nazywa się pierśnicą (widać kiedyś uznano, że jest to wysokości piersi – każdy/każda może sprawdzić trafność takiej hipotezy). Skrupulanci mają zastrzeżenia co do uznania rekordu „Pawła”, gdyż jest on tzw. „zroślakiem” – powstał przez zrośnięcie dwóch lub nawet trzech drzewek posadzonych blisko siebie i następnie tak pielęgnowanych, by zrosły się pniami; można więc powiedzieć, że jest to pomnik przyrody i pomysłowości ludzkiej.

Królem polskich dębów był – jakżeby inaczej – „**Chrobry**” rosnący w Piotrowicach na granicy województw dolnośląskiego i lubuskiego, przy drodze krajowej DK 12 między Przemkowem a Szprotawą. Miał ok. 750 lat, choć wg popularnej legendy (przewodnickiej?) był jeszcze starszy – posadzono go rzekomo dla uczczenia spotkania Bolesława Chrobrego z Ottonem III w roku 1000 (to spotkanie rzeczywiście miało miejsce



**„Chrobry” – jeszcze żywy (2011 r.) i jego smętne resztki (2024 r.)**



**Kowary. 17-letni „dąb papieski”  
– co z niego wyrosnie?**



**Cis henrykowski – najstarsze drzewo w Polsce**

w pobliskiej Iławie, obecnie w granicach Szprotawy). Dąb zdumiewał kształtem i żywotnością: miał rekordowe ponad 10 m obwodu, 28 m wysokości i koronę 16-metrową (tu nasz „Paweł” jest lepszy – ma koronę ok. 30-metrowej średnicy). Rósł i owocował. Katastrofa nastąpiła 18 listopada 2014 r., kiedy w niewyjaśnionych okolicznościach (podejrzewano podpalenie) „Chrobry” stanął w płomieniach. W czasie 30-godzinnej akcji ratowniczej drzewo uratowano przed całkowitym spalaniem, ale w następnych latach już się nie odrodziło. „Życie po życiu” zyskał w postaci tzw. „dębów papieskich”, których 500 sadzonek wyhodowano z jego żołądki pobłogosławionych przez Jana Pawła II jeszcze w 2004 r. i od tej pory rozdawanych w różne miejsca – nie tylko kościołom, np. w Pawłowicach takie drzewo posadzili w 2009 r. rektorzy Wrocławia, Opola i Zielonej Góry, o czym informuje stosowny napis wykuty w kamieniu.

Grubo starszym od „Chrobrego”, najstarszym w Polsce drzewem jest cis „Henryk” w Henrykowie Lubańskim (pow. lubański), który wg szacunków ma ponad 1250 lat. Cis ten żyje, a od kilkunastu lat jest poddawany specjalnej kuracji życia podtrzymującej. Obecnie nie wygląda zbyt atrakcyjnie ze względu na rusztowania i ekrany osłaniające przed ekstremalnymi zmianami pogodowymi, tudzież inną aparaturę zasilającą – cóż, szpitalne SOR-y też nie są dobrym miejscem na pamiątkowe fotografie.

Inny pomnikowy cis o podobnych parametrach co henrykowski, choć o nieznanym wieku (czy ktoś go szacował?), znajduje się w nieco zapomnianej, a malowniczo położonej wiosce **Paszków** w pow. kłodzkim (ładne kapliczki słupowe!). Ten ma obwód pnia 315 cm (w Henrykowie



**Pomnikowy cis w Paszkowie**



**Platan za katedrą**

ry dopiero niedawno (w 2020 r.) uzyskał tytuł pomnika przyrody, mianowicie „Świadek” stojący między monumentalną fontanną na pl. Jana Pawła II a Urzędem Stanu Cywilnego. Swoją drogą te nazwy nie grzeszą oryginalnością: „Henryk” w Henrykowie, „Paweł” w Pawłowicach, „Świadek” przed pałacem ślubów; ten przy katedrze mógłby się nazywać „Kanonikiem”.

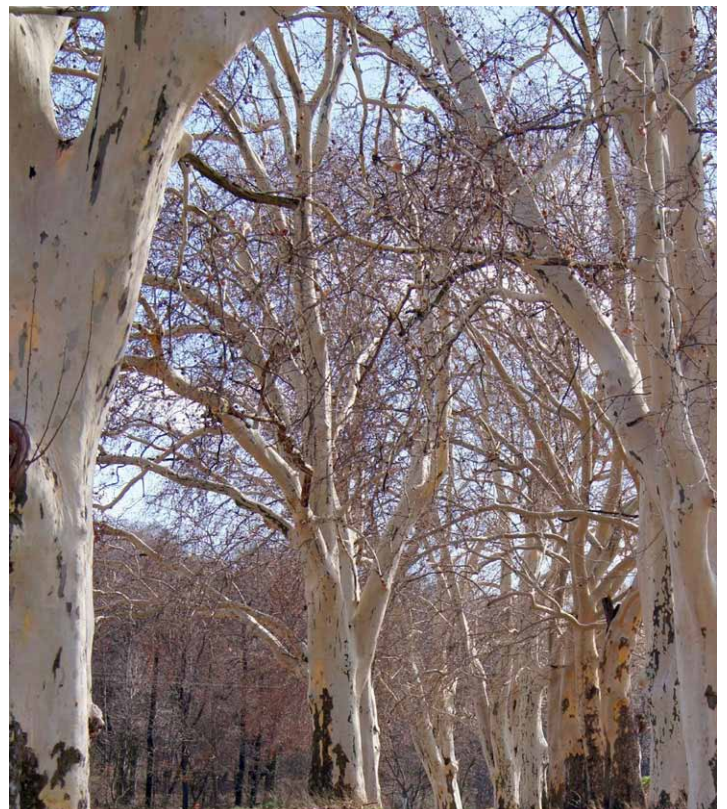
Wielkie platany, podobnie jak dęby, robią wrażenie również w porach „bezlistnych”, kiedy ich grube, szeroko rozgałęzione konary na tle nieba wyglądają majestatycznie, wręcz groźnie. Platany spośród innych drzew wyróżnia efektowna plamista kora – gładka i obłazująca cienkimi płatami na całej wysokości drzewa. Jak różnie mogą się prezentować, świadczy niewielki fragment mało uczęszczanej szosy na północ od **Żelowic**

425 cm), wysokość ok. 10 m i widać go z drogi przytulonego do chaty. Wg danych encyklopedycznych cisy rosną powoli i mogą dożywać paru tysięcy lat, a ciekawostką jest to, że były objęte ochroną w Polsce już za czasów Władysława Jagiełły z powodu bardzo cennego drewna używanego na broń i budowę domów.

W przeciwieństwie do niepozornych cisów zawsze pysznie prezentują się platany, które we Wrocławiu możemy spotkać nad Odrą, nad fosą i niemal w każdym parku (wszak wg słów Hemara z przedwojennej piosenki to właśnie *w parku pod platanem pani siądzie z panem* itd.). W czasie XIX-wiecznej przebudowy wielkich miast europejskich chętnie wysadzano nimi powstające aleje i bulwary, czego znakomitym przykładem są paryskie *Champs-Elysees*. Zwiedzającym Wrocław pokazuje się zwykle olbrzymi platan na skwerze **za katedrą** (ponad 5 m w obwodzie), ale godnym uwagi jest też okaz, który



**„Świadek” nad fosą**



**Aleja platanów k. Żelowic**



### Nie tylko dęby i platany: pomnikowe topole „Maria” i „Józef” w Szczytnej

(pow. strzeliński), który jest wysadzany właśnie platanami; przedstawione na zdjęciu w marcowy pogodny dzień zdają się tworzyć zdumiewającą aleję białych zjaw.

Dla laika w spisie wrocławskich pomników przyrody zaskakujące są dwie pozycje – obydwie to pnącza, a dokładnie **bluszcz**, nawet oficjalnie nazywany bluszczem pospolitym. W obu przypadkach można go odnaleźć w miejscach niespodziewanych i rzadko odwiedzanych, a jeżeli już, to nie dla podziwiania osobliwości botanicznych: jeden w podwórzu przy **pl. Św. Macieja 8**, drugi – na dębie rosnącym w południowych ramionach bud. E na terenie Starych Klinik przy **ul. Pasteura 4**. Bluszcz z pl. Św. Macieja wyrasta z krótkiego poskręcanego pnia i rozrastając się sercowato zajmuje kilkaset metrów kwadratowych na ślepej ścianie



### Muzeum Narodowe w jesiennej szacie



### Pomnikowy bluszcz z pl. św. Macieja



### Bluszcz na dębie za Kliniką Hematologii

budynku przychodni. Drugi okaz, z terenu Klinik, jest osobliwy nie tylko swą obfitością, ale i miejscem – obrasta on grubą warstwą dąb, który również jest pomnikiem przyrody – stanowiąc rzadki, a może jedyny przypadek typu „dwa w jednym”.

O ile oba wymienione pomnikowe bluszcze są na ogół nieznanne, to od lat wszyscy, którzy przejeżdżają Mostem Pokoju – szczególnie jesienią – muszą zwrócić uwagę na **winobluszcz** obrastający budynek **Muzeum Narodowego**. W październiku staje się on olśniewającym, nie do przecoczenia sygnałem, że to już „złota jesień”.

Ciekawe bywają też pomniki przyrody nieożywionej. Niektórzy najstarsi mieszkańcy wrocławskiego Zacisza zapewne pamiętają z dzieciństwa swoje zdziwienie, kiedy w pierwszych powojennych latach, penetrując okolicę, oglądali wielki kamień leżący w pobliżu śluzy za mostem na Odrze. Starsi tłumaczyli im niemiecki napis mówiący, że został on wydobyty w latach 1915-1917 przy budowie pobliskiego kanału. W 1983 r. kamień stał się głównym elementem aranżacji ku czci „Ludzi Rzeki”. Po kilkunastu latach tablica pamiątkowa zniknęła i dopiero w 2011 r. odtworzono pomnik w obecnej postaci. Nb. wydaje się, że jest to bardzo właściwe miejsce upamiętnienia ludzi i instytucji związanych po wojnie z Odrą – tuż przy dawniej ruchliwej śluzie Zacisze, blisko prężnie działającej do 1996 r. stoczni i niedaleko od słynnego Technikum Żeglugi Śródlądowej rozwiązanego w 1997 r. (obecnie budynek XIV LO).



**Wielki kamień na Zaciszu**

Sam głaz trafił do nas aż ze Skandynawii i jest pięknym przedstawicielem tzw. **głazów narzutowych** zwanych też eratykami (od łac. *errare* = błędzić) lub narzutnikami przyniesionych przez lądolód w czasie zlodowaceń plejstoceńskich. Kierunek nasuwania się tego lądolodu na terenie Polski znajduje swoje odbicie w liczbie głazów znajdujących w poszczególnych województwach i uznawanych za pomniki przyrody nieożywionej. I tak w pomorskim jest ich 169, w wielkopolskim 96, ale już w świętokrzyskim 35, a w podkarpackim tylko 10; dolnośląskie z 38 pomnikami plasuje się w połowie stawki. Wszystkich głazów objętych ochroną jest w Polsce ponad tysiąc.



**Głaz Romera**

Największy dolnośląski eratyk znajduje się w lesie w gminie Brzeg Dolny, przy granicy rezerwatu przyrody **Jodłowice** (GPS: 51°17'15,5" N; 16°48'37,2" E). Ma obwód ok. 14 m i wysokość (widoczną nad ziemią) ponad 2 m. Od czasów przedwojennych nazywany jest głazem Romera dla uczczenia Carla Ferdinanda von Roemera, zasłużonego XIX-wiecznego niemieckiego geologa, profesora Uniwersytetu Wrocławskiego i przez pewien czas jego rektora.



**„Piotrek” k. Rynarcic**

Inny duży narzutnik nazwany „Piotrek” (jeszcze kilka imion zostało...) znajduje się *in situ* w lesie koło **Rynarcic** (pow. lubiński). Głaz o 16-metrowym obwodzie leży kilka kroków od niebieskiego szlaku, na zachód od szosy DK 323 z Lubina (GPS: 51°27'36,7" N; 16°11'38,7" E) i jest częściowo zagłębiony w ziemi.

Wiele mniej lub bardziej okazałych głazów narzutowych zostało użytych jako różne kamienie pamięci, podobnie do tego z Zalesia, jak np. zmieniający swoją rolę kamień leżący od 1946 r. w centrum

**pl. Kościuszki** we Wrocławiu na miejscu rozebranego po wojnie XVIII-wiecznego pomnika-grobowca generała v. Tautentziena. Takie pochodzenie mają też prawdopodobnie głązy pamięci bitwy z 1109 r. na Psim Polu czy upamiętnienie obozu pracy przymusowej z czasów II wojny na Sołtysowicach. Ciekawym przykładem jest pomnik w **Sulęcinie** (pow. wrocławski) – tam wielki granitowy głaz przewieziono w 1923 r. ze żwirowni na wrocławskim Tarnogaju, żeby stanowił pomnik poległych w Wielkiej Wojnie. Teraz na ładnie urządzonej skwerze ustawiono kilka mniejszych kamieni narzutowych, a pod rozłożystą lipą na dawnym pomniku poległych wmontowano tablicę z obszernym tekstem objaśniającym pochodzenie eratyków w ogóle i historię tego właśnie egzemplarza.

Zaglądając do sieci, okazuje się, że handel kwitnie i wiele firm oferuje sprzedaż głazów narzutowych i innych kamieni polnych (oczywiście nie tych chronionych przez prawo) w cenach zależnych od ich rozmiarów i rodzaju minerału, z jakiego są zbudowane. Kupowane są raczej w celach ozdobnych do ogrodów lub rezydencji, bo „kocimi łbami” już chyba nikt dróg nie brukuje.

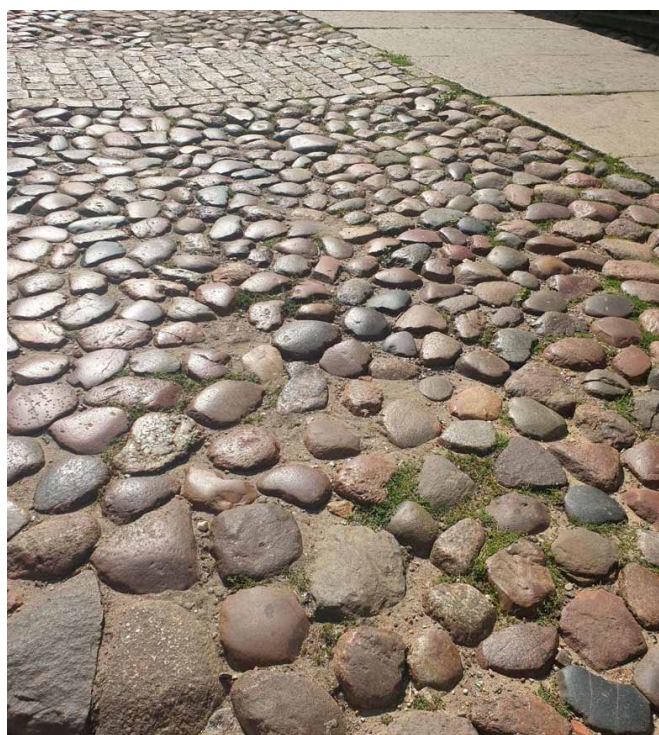
W dawnych czasach głązy narzutowe nazywano diabelskimi kamieniami czy czarcimi głazami i opowiadano różne legendy o ich sprowadzeniu przez siły nieczyste, co nie dziwi, bo w żaden sposób „na zdrowy rozum” nie da się wytłumaczyć, skąd się brały w miejscach, gdzie je znajdowano. Podobnie trudno było sensownie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego na polach „rosną” kamienie (teraz używa się specjalnych maszyn rolniczych do ich wykopywania przed siewami). I dziś mimo wszelkich dowodów naukowych trzeba wielkiego wysiłku, by wyobrazić sobie grubą na setki metrów warstwę



**Wrocław. Pl. Kościuszki**



**„Pomnik eratyków” w Sulęcinie**



**Rarytas – „kocie łby” w centrum Wrocławia**

lodu zalegającą obszar na północ od Sudetów i Karpat, nad którą wystają tylko szczyty Gór Świętokrzyskich i naszej pocziwej Ślęży jako skaliste „czarne wysepki”, tzw. nunataki. Podobnie wyobraźnia zawodzi, jeśli chodzi o nie-ludzką skalę czasu, w jakiej trzeba opisywać procesy nasuwania się i cofania lądolodu. Nasze domowe genealogie rozmywiają się zwykle już na poziomie pradziadków (3 – 4 pokolenia), datując pomnikowe drzewa myślimy co najwyżej o setkach lat, a tutaj chodzi o setki tysięcy lat – okresy osławiane pod tajemniczo brzmiącymi nazwami epok geologicznych takimi jak ów plejstocen, kiedyś nazywany dyluwium. Ta nazwa, z łaciny *diluvium* = potop, nawiązywała do biblijnego potopu, po którym wyłoniło się nowe, takie jakie znamy, oblicze Ziemi.

*Witold Komorowski*

# Kamień upamiętniający założyciela pensjonatu Försterbaude w Chełmsku Śląskim

Funkcjonujący w przedwojennym Chełmsku Śląskim obiekt o nazwie *Försterbaude* pojawiał się już w dwóch moich artykułach, jakie opublikowano w piśmie „Na Szlaku”.

W numerze 11/2023 opisywałem kamień pamiątkowy z Placu Donata, który znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie *Försterbaude*, natomiast w numerze 1/2024 zamieszczony był mój opis kontrowersyjnego kamienia Adolfa Hitlera, jaki ustawiono przy dawnej Drodze Sudeckiej. Droga ta zaczynała się w pobliżu *Försterbaude*, dodatkowo w artykule znalazła się reprodukcja pocztówki wysłanej z tego właśnie budynku.

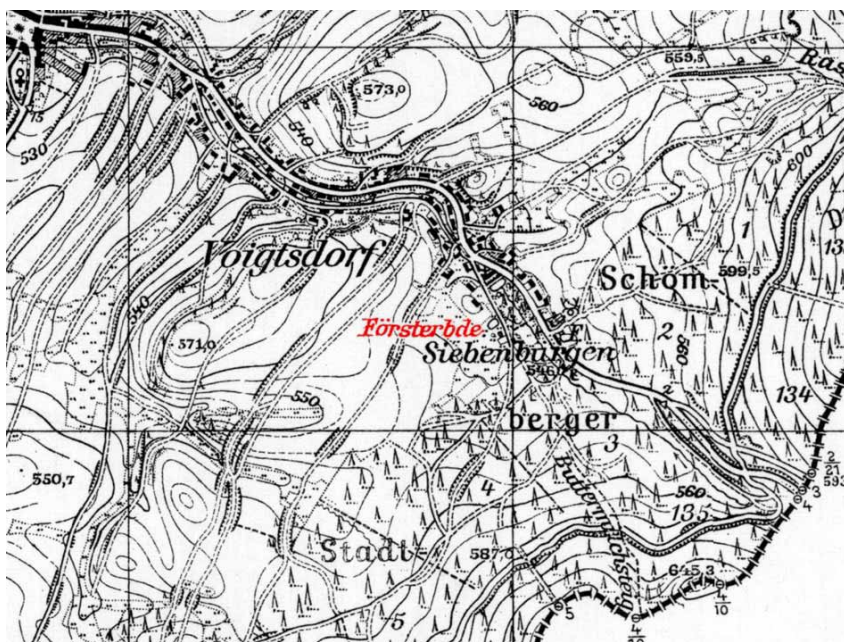
Obiekt zlokalizowany był w położonej za Wójtową (niem. *Voigtsdorf*) kolonii Chełmska Śląskiego noszącej nazwę *Siebenbürgen*. Po przyłączeniu Wójtowej w latach międzywojennych do miasta kolonia straciła swoją odrębność, a pensjonat znajdował się już przy ulicy o nazwie *Buttermilchsteg*<sup>1</sup>.

Założycielem tego lokalu był emerytowany leśniczy Adolf Knetsch. Reklama z 1925 roku informowała, że było to najpiękniejsze miejsce na wycieczkę, ze wspaniałym górskim położeniem<sup>2</sup>. Oferowało gościom ogród z idyllicznymi altanami, a pensjonat miał pokój myśliwski i kawowy, przeszkloną werandę urządzonej w stylu myśliwskim, taras i duży plac zabaw.

Samą nazwę *Försterbaude* należałoby na język polski przetłumaczyć jako „schronisko leśniczego”, gdyż składa się on ze słów *Förster* = „leśniczy” oraz *Baude* = „schronisko”. Jednak nie było to typowe górskie schronisko, dlatego też, moim zdaniem, bardziej odpowiednie jest określenie go mianem pensjonatu.

Po śmierci Adolfa Knetscha gospodynią została Auguste Knetsch. Nie wiem do kiedy dokładnie pensjonat funkcjonował, być może do końca wojny.

W latach powojennych budynek uległ zniszczeniu. Jak wynika z archiwalnej fotografii w 1968 roku był on już



Fragment mapy topograficznej z zaznaczoną lokalizacją pensjonatu Försterbaude



Pocztówka z widokiem Försterbaude. Zdjęcie: polska-org.pl



Reklama Försterbaude z 1925 roku. Źródło: Adressbuch... 1925

całkowitą ruiną. Odwiedziłem to miejsce w ubiegłym roku i wydawało mi się, że po pensjonacie pozostały jedynie kamienie z fundamentów.

Jednak byłem w błędzie. Jak mnie poinformował Adam Antas, miłośnik historii Chełmska Śląskiego, do dziś zachowało się pewne szczególne upamiętnienie stojące niegdyś w ogrodzie koło budynku. Jego lokalizację można zobaczyć na pocztówce, której reprodukcję zamieściła jakiś czas temu gazeta *Schlesischer Gebirgsbote*. Pomnik miał postać pnia z uciętymi konarami, a ustawiono go w ogrodzie, tuż przy narożniku budynku.

Nie wiem dokładnie kiedy i w jakich okolicznościach kamień został przemieszczony, ale po jakimś czasie miał leżeć gdzieś przy ul. Sądeckiej, aż wreszcie zaopiekował się nim proboszcz chełmskiej parafii i sprawił, że ustawiono go w ogrodzie parafialnym przy ul. Powstańców Śląskich.

Opisywany obiekt ma postać pnia z sześcioma obcięzonymi konarami. Gdzieniedzie wyrzeźbiono małe gałązki z liśćmi dębu. Podstawa ma kształt kwadratu o boku ok. 40 cm, średnica w górnej części to 20 cm. Pień ułamany jest na wysokości niecałych 130 cm – wydaje się jednak, że pierwotnie nie był wyższy.



**W 1968 roku z dawnego budynku *Försterbaude* pozostały już tylko nieliczne ściany. Zdjęcie: „Schlesischer Gebirgsbote”, nr 5/1968**



**Fragment pocztówki z pozdrowieniami z *Försterbaude*. Na pierwszym planie widoczne upamiętnienie w formie pnia. Zdjęcie: „Schlesischer Gebirgsbote”, nr 8/2015**

Z przodu, kilka centymetrów od wierzchołka, znajduje się owal z wrytą inskrypcją:

**Förster  
A. Knetsch  
Gründete  
Försterbaude  
1913**

Napis ten oznacza: *Leśniczy A. Knetsch założył Försterbaude w 1913 roku.*

Z tyłu, około 35 od wierzchołka, znajduje się drugi owal, na którym wryto:

**\* 8.10.1855  
† 8.5.1935**

**Widok kamienia pamiątkowego. Wszystkie współczesne zdjęcia: Marian Gabrowski, wrzesień 2024 roku**



### Widok inskrypcji wyrytych z przodu i z tyłu kamienia pamiątkowego

Symbole gwiazdki i krzyża świadczą o tym, że są to daty urodzin i śmierci. W jednej z nich nieczytelna jest pierwsza cyfra miesiąca, jednak ponieważ drugą cyfrą jest 0, to niewątpliwie musiała tu się znajdować liczba 10.

Wyryte z tyłu daty narodzin i śmierci kojarzą się z nagrobkiem, a przecież te niekiedy miewają formę pnia. Czyżby więc był to kamień nagrobny? Wydaje mi się to mało prawdopodobne, gdyż inskrypcje na przedzie pomnika bardziej kojarzą się z kamieniem pamiątkowym. Zresztą sama lokalizacja obiektu, ustawionego w ogródku w bezpośrednim sąsiedztwie pensjonatu, wydaje się zdecydowanie nie pasować do nagrobka.

Moim zdaniem, jest to jakaś forma upamiętnienia założyciela *Försterbaude*. Pomnik ten mogła wznieść po śmierci leśniczego Auguste Knetsch, która w dalszym ciągu prowadziła pensjonat. Jednak natrafiłem też na informację sugerującą, że być może kamień ten ustawił sam Adolf Knetsch!

We wspomnieniach osoby, która przed wojną była w *Försterbaude*, znalazłem następującą wzmiankę: *Bawiło mnie, że pan Knetsch postawił w pensjonacie własny pomnik, aby uhonorować swoje osiągnięcia. Już wtedy było wielu niesamowitych dziwaków*<sup>3</sup>.

Nie mam jednak pewności, że mowa tu o opisywanym przeze mnie pomniku. Jeśli tak było, to przynajmniej data śmierci musiała zostać uzupełniona w późniejszym czasie. Zapewne zadbała o to Auguste Knetsch, kolejna właścicielka pensjonatu, która przeżywszy 79 lat, zmarła w niemieckim Bexterhagen w 1961 roku<sup>4</sup>. Ponieważ Adolf Knetsch był od niej starszy o 27 lat, toteż zapewne była ona jego córką.

*Marian Gabrowski*

#### Przypisy

- 1 *Adreßbuch der Stadt und des Kreises Landeshut von 1938*, Landeshut 1938
- 2 *Adreßbuch der Stadt und des Kreises Landeshut von 1925*, Landeshut 1925
- 3 *Schömberg in Schlesien aus der Sicht des Rathauses*, [w:] *Schlesischer Gebirgsbote*, nr 14/1964, s. 211
- 4 *Unsere Toten*, [w:] *Schlesischer Gebirgsbote*, nr 10/1961, s. 159

# Cysterski kamień graniczny z muzeum w Kamiennej Górze

**W** sierpniowym numerze pisma „Na Szlaku” opisywałem cysterski znak graniczny, który pewien czas temu odnaleziony został na zboczach Polskiej Góry koło Lubawki. Wraz z jego znalazcą ustaliliśmy, że obiekt ten należałoby przekazać do kamiennogórskiego muzeum, które posiada już podobny słupek wyznaczający niegdyś granice dóbr cystersów z Krzeszowa. Warto więc opisać również i kamień, który już wcześniej znajdował się w tymże muzeum.

Na najstarszą informację o istnieniu tego znaku granicznego natrafiłem w „Doniesieniu terenowym” Zygmunta Sarneckiego, które ukazało się w piśmie „Bractwo Krzyżowców”. Datowany na 24 marca 1992 roku tekst zawiera opis znanych wówczas autorowi cysterskich kamieni granicznych, w tym też następującą wzmiankę: „Remont Muzeum w Kamiennej Górze uniemożliwia odnalezienie dwóch słupków przewiezionych tam w latach sześćdziesiątych przez płk. Świątkę ze strażnicy w Lubawce”<sup>21</sup>.

W tym samym roku w „Karkonoszach” ukazał się artykuł tego samego autora<sup>2</sup>, który wspominał: „Nie jest znany los słupów, które znajdowały się w szkołach w Lubawce i Okrzeszynie oraz dwóch przywiezionych do Muzeum w Kamiennej Górze. Trwający od dawna remont utrudnia przeszukanie znajdujących się w Muzeum zbiorów kamiennarskich. Czytelników, którzy znają los tych obiektów, prosimy o informację”<sup>23</sup>. Zwraca uwagę fakt, że w obu tekstach mowa o dwóch kamieniach, choć mi udało się potwierdzić istnienie tylko jednego.

Także Jerzy Sarnecki wspominał mi w marcu 2009 roku: „2 słupki znajdują się w Muzeum Tkactwa Dolnośląskiego w Kamiennej Górze. Rozmawiałem z dyrektorką, jeśli jest Pan zainteresowany w otrzymaniu ich zdjęć, proszę zwrócić się bezpośrednio do Muzeum, podając uzasadnienie”<sup>24</sup>.



**Siedziba kamiennogórskiego muzeum.  
Wszystkie zdjęcia: Marian Gabrowski**



**Remont w kamiennogórskim muzeum, rok 2008**

Co ciekawe, tenże sam Jerzy Sarnecki w swoim tekście „Zakonne słupki graniczne”, jaki można było zobaczyć na stronie internetowej chelmsko.pl w 2008 roku, opisując zachowane słupki wyznaczające granice posiadłości cystersów, wylicza: „1 w Muzeum Tkactwa Dolnośląskiego w Kamiennej Górze”.

Pamiętam, że przed laty kilkakrotnie usiłowałem wykonać zdjęcie tego znaku granicznego, jednak nie było to łatwe. W 2008 roku dowiedziałem się, że zabytek tymczasowo przechowywany jest poza terenem muzeum. Z informacji tej wynikało, że jakiś kamień graniczny w dalszym ciągu znajduje się w zbiorach, jednak umieszczona na drzwiach kartka oznajmiała: „Muzeum Tkactwa Dolnośląskiego ze względu na remont nieczynne”, a mi cały czas nie udawało się wykonać fotografii. Z podobnymi problemami spotkał się też np. Witold Komorowski<sup>5</sup>. Bywały jednak przypadki, że niektórym poszukiwaczom udawało się dotrzeć do tego zabytku, np. Andrzej Scheer w 2004 roku miał okazję go obejrzeć, sфотографować i zmierzyć<sup>6</sup>.

Po zakończeniu remontu kamień graniczny powrócił do muzeum. We wrześniu 2009 roku przechowywano go, wraz z innymi kamiennymi zabytkami, na zadaszonym dziedzińcu za głównym budynkiem muzeum. Wtedy wreszcie udało mi się wykonać kilka zdjęć tego obiektu i stwierdzić, że ma on wyryty numer 593. Jednak cały czas zastanawiałem się, czy w muzeum znajduje się jeden, czy też dwa takie znaki graniczne? W grudniu 2015 roku ówczesna dyrektorka muzeum, Barbara Skoczylas-Stadnik, na moje pytanie o liczbę tych kamieni odpowiedziała: „uprzejmie informuję, że w zbiorach Muzeum Tkactwa w Kamiennej Górze znajduje się tylko jeden słupek graniczny posiadłości cystersów krzeszowskich, pochodzi z 1727 roku wykonany w czasach, gdy opatem był Innocenty Fritsch”<sup>7</sup>. Wydaje się więc, że albo wcześniejsze informacje o dwóch takich kamieniach musiały być błędne, albo jeden z nich zaginął.

W lipcu 2024 roku Witold Komorowski, opisując losy krzeszowskich kamieni granicznych, wspominał o kamieniu z Muzeum Tkactwa w Kamiennej Górze: „Były przypuszczenia, że jest to zaginiony słupek stojący wiele lat przed budynkiem Straży Granicznej w Lubawce, ale jak dotąd nie udało się tego zweryfikować”<sup>8</sup>.

W tym miejscu chciałbym sprostować pewne nieporozumienie, jakie dostrzegam w powyższym cytacie. Otóż według informacji, jakie otrzymałem niegdyś od ostatniego komendanta placówki Straży Granicznej w Lubawce, w momencie likwidacji tego oddziału znajdujący się przed jego siedzibą cysterski kamień graniczny miał być przekazany



**Kamień graniczny na dziedzińcu muzeum, rok 2009**



**W 2024 roku kamień graniczny przechowywany był w magazynie**

do kamiennogórskiego muzeum. Choć tak miało być, to jednak nie udało mi się potwierdzić, że rzeczywiście tam dotarł. Jednak lubawski słupek był pomalowany na biało i miał z boku wyryty słabo czytelny numer 561. Nie ulega więc wątpliwości, że był to całkiem inny obiekt, niestety dziś zaginiony.

Po tym przydługim wstępie czas w końcu opisać kamień graniczny, który w Muzeum Tkactwa widnieje pod numerem ewidencyjnym MTD 1271-S. Jak się dowiedziałem, muzeum nie posiada żadnych dokumentów pozwalających ustalić kiedy i w jakich okolicznościach obiekt trafił do jego zbiorów.

Jest to piaskowcowy słup o całkowitej wysokości ok. 95 cm<sup>9</sup>, przy czym obrobiona jest tylko jego górna część, mająca wystawać z ziemi, mierząca 66 cm. Fragment przewidziany do zakopania pozostawiono w stanie surowym.

Szerokość i grubość górnego fragmentu kamienia to odpowiednio 32 i 22 cm. Wierzchołek jest zaokrąglony, a na jego szczycie umieszczono znak krzyża. Po prawej stronie wtórnie wyryto też liczbę 593. Z przodu kamienia znajdują się dobrze zachowane inicjały IAG, poniżej pastorał i mitra, a na dole data 1727.

Litery IAG to skrót od łacińskich wyrazów *Innocentius Abbas Grissoviensis*, czyli *Innocenty opat krzeszowski*, który swoje rządy rozpoczął właśnie w 1727 roku. Warto w tym miejscu zauważyć, że najbardziej rozpoznawalną budowlą powstałą za czasów tego opata jest krzeszowska bazylika. W centralnej części jej elewacji ujrzymy dwa aniołki trzymające banderolę z napisem „17 IAG 33” – czyli datą powstania rzeźb oraz takimi właśnie inicjałami opata<sup>10</sup>.

Z kolei wyryta z boku liczba 593 pozwala wskazać miejsce, w którym kamień ten był niegdyś ustawiony. Jest to dawny numer porządkowy, który nadany został jeszcze w czasie, gdy słupek znajdował się na granicy państwowej. Z archiwalnej mapy *Meßtischblatt*<sup>11</sup> wynika, że numer 593 zlokalizowany był na zachód od miejsca określanego nazwą *Haferplan*, czyli dzisiejszej Wysokiej Polany w Górach Kruczych<sup>12</sup>.

Gdyby ktoś chciał jeszcze dokładniej poznać miejsce pierwotnego ustawienia tego kamienia granicznego, to warto spojrzeć na archiwalną mapę katastralną wioski *Königshan* (czes. Královec), którą *Český úřad zeměměřický a katastrální* udostępnia na stronie *Geoportál ČÚZK* (znajdziemy ją wśród map opisanych jako *Originální mapy stabilního katastru*)<sup>13</sup>. Według moich ustaleń kamień oznaczony na mapie *Meßtischblatt* numerem 593 odpowiada parze znaków granicznych opisanych na mapie katastralnej numerem 63. Widać wyraźnie, że na tym odcinku kamienie ustawiono parami, po obu stronach drogi biegnącej wzdłuż granicy państwowej.

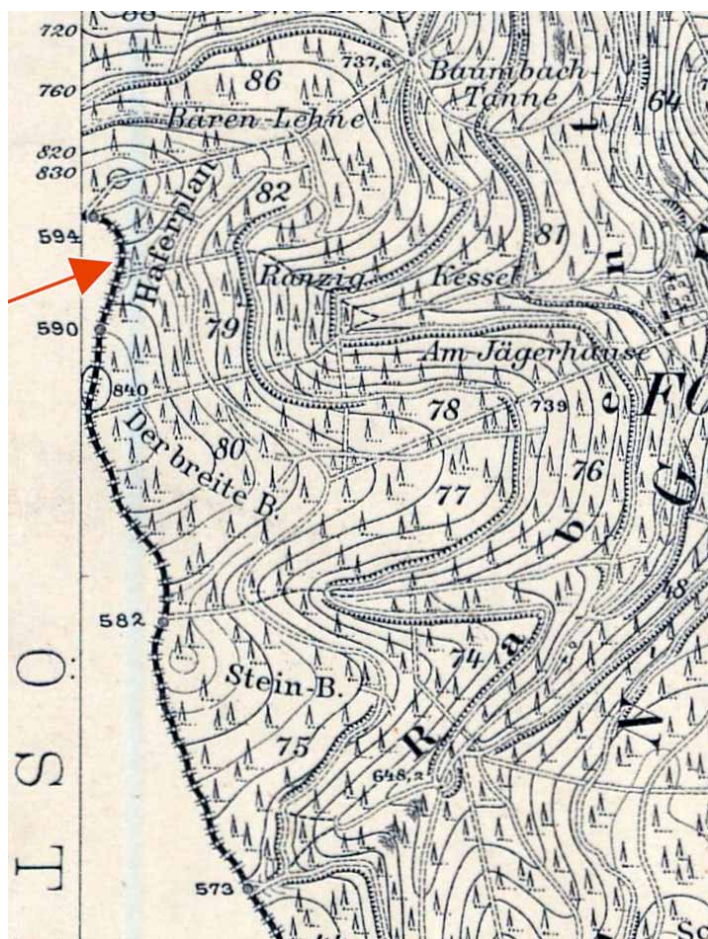
*Marian Gabrowski*



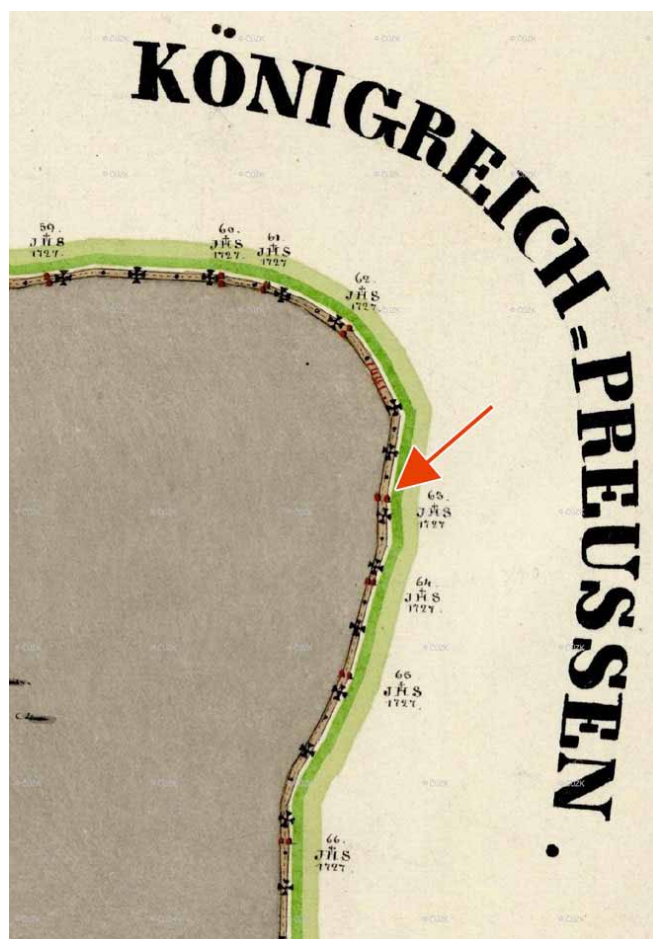
**Aniołki trzymające banderolę z inicjałami IAG**



**Liczba wyryta z boku kamienia**



**Fragment archiwalnej mapy topograficznej z zaznaczoną pierwotną lokalizacją kamienia granicznego z muzeum**



**Fragment archiwalnej mapy katastralnej z zaznaczoną pierwotną lokalizacją kamienia granicznego z muzeum. Źródło: ags.cuzk.cz/archiv**

Przypisy:

- 1 Z. Sarnecki, *Doniesienie terenowe nr 127*, [w:] Bractwo Krzyżowców, zeszyt 19/1992, s. 12.
- 2 Zapewne przez jakieś niedopatrzenie zabrakło tu wzmianki na temat autora, jednak jego imię i nazwisko pojawia się w podpisach ilustracji.
- 3 Z. Sarnecki, *Zabytkowe słupki graniczne*, [w:] Karkonosze, numer 7-8/1992, s. 15.
- 4 Fragment korespondencji e-mail z 27 marca 2009 roku.
- 5 W. Komorowski, *Kamienie opactwa krzeszowskiego*, [w:] Na Szlaku, numer 6/2015, s. 12.
- 6 A. Scheer, „Pobiesiadne” odkrycie kamieni granicznych, [w:] Przydrożne Pomniki Przeszłości, nr 38, 4/2004.
- 7 Fragment korespondencji e-mail z 8 grudnia 2015 roku.
- 8 W. Komorowski, *Wędrówki krzeszowskich kamieni granicznych*, [w:] Na Szlaku, numer 7/2024, s. 5.
- 9 W karcie ewidencyjne podano wymiary „86 cm / 36 cm / 21 cm”, inne niż zmierzone przeze mnie (95×32×22 cm). Drobne rozbieżności w przypadku szerokości i wysokości mogą wynikać z faktu, że nie do końca wiadomo, czy podane wymiary dotyczą obrobionej części kamienia, czy też również tej „podziemnej”. Dla przykładu w przywołanym wcześniej tekście Andrzeja Scheera podane są wymiary 97 x 33 x 27 cm. Zaskakuje jednak duża rozbieżność w przypadku wysokości, która powinna być taka sama niezależnie od sposobu pomiaru. Ja zmierzyłem 95 cm, Andrzej Scheer 97 cm, natomiast w karcie znajduje się wymiar 86 cm. Wydaje się, że albo jest to zwykła pomyłka, albo przepisany z jakiejś starszej ewidencji wymiar dotyczący tego „drugiego” kamienia, który według niektórych tekstów Zygmunta i Jerzego Sarneckich jakoby miał się znajdować w muzeum.
- 10 K. Michalik, *Krzeszów Dom Łaski Maryi*, Krzeszów 2018, s. 84.
- 11 Mapa topograficzna *Meßtischblatt*, arkusz 3131 Schömburg, rok 1907.
- 12 *Słownik geografii turystycznej Sudetów*, tom 9, Wrocław 1996, s. 246.
- 13 Mapa katastralna *Dorf Königshausen in Böhmen Königgrätzer Kreis*, rok 1841.

# Grób dr. h.c. Hugo Seydela na cmentarzu komunalnym w Jeleniej Górze

Tajny Radca Sprawiedliwości dr h.c. Hugo Seydel, honorowy obywatel miasta Hirschberg (Jelenia Góra), były poseł do parlamentu krajowego z okręgu wyborczego Jelenia Góra-Swierzawa, były wieloletni przewodniczący RGV i twórca Muzeum RGV, zmarł w poniedziałek 3 października 1932 roku o godzinie dwunastej w wieku prawie 92 lat po długiej chorobie.

Odszedł człowiek, którego praca całego życia była w służbie naszej ojczyzny. Kim był zmarły z miasta Jelenia Góra i całych Karkonoszy, szczegółowo opisaliśmy z okazji jego 90. urodzin, a to, co wówczas powiedziano, można tylko dziś ponownie podkreślić. Był niezwykle oddanym działaczem Towarzystwa Turystycznego RGV<sup>1</sup>, dla którego pracował bez wytchnienia. Przyczynił się do budowy wielu dróg górskich oraz infrastruktury turystycznej w Karkonoszach

Tajny radca Seydel pochodził z Legnicy, gdzie urodził się 12 listopada 1840 roku. Po ukończeniu tamtejszej Akademii Rycerskiej studiował we



**Nowa tablica pamiątkowa umieszczona na odwrocie nagrobka**

<sup>1</sup> Towarzystwo Karkonoskie (niem. Riesengebirgsverein, w skrócie RGV) – niemiecka organizacja turystyczna działająca w latach 1880–1945 na terenie Karkonoszy, Gór Izerskich, Gór Kaczawskich i Rudaw Janowickich



**Tablica informacyjna o grobie dr. h.c. Hugo Seydela na rozwidleniu dróg w pobliżu kaplicy cmentarnej**



**Drogowskaz kierujący do miejsca pochówku**

Wrocławiu, Giessen i Berlinie, a do Mużakowa przybył w 1870 r. jako komisarz sądu powiatowego, w 1877 r. pracował jako radca sądu powiatowego w Bolesławcu. W 1885 r. przybył do Jeleniej Góry jako radca sądu powiatowego, w 1906 r. został mianowany tajnym radcą, a w 1908 r. przeszedł na emeryturę. Po przeprowadzce do Jeleniej Góry od razu stał się członkiem RGV. Wkrótce wszedł w skład zarządu lokalnej grupy, w 1888 r. działał w zarządzie głównym, a w 1898 r. został wybrany prezesem zarządu głównego. W związku z tym

nieustrudzenie pracował słowem, piśmem i czynem dla swoich Karkonoszy, które tak bardzo kochał. Jest twórcą Muzeum RGV. Z niewielką kolekcją będącą owocem jego wędrówek po wsiach naszej ojczyzny, położył kamień węgielny pod muzeum w ówczesnym gimnazjum. Dzięki jego zapalowi kolekcja rozrosła się i już kilka lat później muzeum musiało zostać przeniesione na całe pierwsze piętro domu przy Schulstraße/Szkolna 12 („Schlesische Gebirgs-Zeitung” – „Śląska Gazeta Górska”). Ale nawet to nie wystarczyło. Zbiory stały się coraz większe, przyciągały uwagę miasta i województwa, pojawiła się potrzeba budowy osobnego domu dla cennych skarbów. Seydel znalazł do tego odpowiedniego człowieka: słynny architekt Grosser, syn Kowar, którego ojciec budował kiedyś kościół Wang, sporządził plany i nadzorował budowę z miłości do ojczyzny. I tak na krótko przed wojną światową mogła odbyć się inauguracja pięknego muzeum przy Kaiser-Friedrich-Straße (ul. Jana Matejki 28). Tutaj przez dziesięciolecia opiekował się swoimi skarbami aż do momentu, gdy podeszły wiek zmusił go do pożegnania się z tym miejscem swojej owocnej pracy dla Towarzystwa Turystycznego RGV. Ale wszechstronna działalność tego człowieka jest daleka od opisu. Szkoła snycerska w Cieplicach-Zdroju, której administracją kierował przez wiele lat, jemu zawdzięcza swoje istnienie. Kontynuował pracę dla miejscowego przemysłu koronkarskiego, opiekował się domem ubogich zbudowanym przez hrabinę Reden w Szklarskiej Porębie, po ojcowsku opiekował się domem starców „Bethesda” i miał ważny głos w radzie kościoła parafialnego „Łaski Cesarskiej”. O wiele więcej można by przytoczyć z jego rozległej działalności, która służyła tylko dobru wspólnemu: wszędzie był lojalnym doradcą i zawsze pomocnym promotorem. Nie brakowało mu honorów, zawsze zachowywał skromność, jak każdy człowiek, który robi coś dobrego. Rodzina, ojczyzna były gwiazdami przewodnimi jego życia. Był wzorem człowieka szlachetnego, Niemca i Ślązaka w słusznej postaci, o którym mówią piękne słowa Fontane’a:

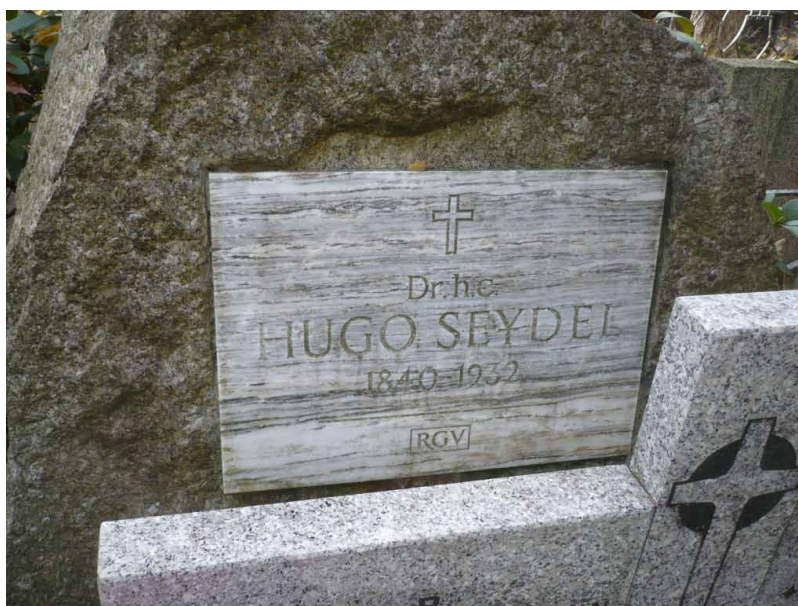
„On jest wierny w głębi swej duszy,  
Który kocha swoją ojczyznę tak samo jak Ty“.

Głęboka wdzięczność ze strony naszej ojczyzny nigdy nie sprawi, że zapomnimy jego imienia. I tak niech spoczywa w pokoju ten wierny syn naszej ojczyzny!

*Ullrich Junker*  
*Tłumaczył Henryk Dąbkiewicz*



**Grób dr. h.c. Hugo Seydela – przestłonięty przez inny współczesny nagrobek**



**Marmurowa tablica ufundowana około 30 lat temu przez pracowników muzeum.  
Wyraża uznanie i szacunek dla założyciela muzeum**

# Masyw Okola i Leśniaka w Górach Kaczawskich

Siedem lipcowych dni spędziłem na sudeckich wędrówkach. Wstawałem o piątej, na szlakach byłem 11-12 godzin, wracałem do hotelu w Bolkowie, robiłem coś wokół siebie i wcześniej się kładłem. W ostatnie dni na konserwy patrzyłem niechętnym okiem, ale szkoda mi było czasu na restauracje.

Sześć dni chodziłem po Górach Wałbrzyskich, ale jako cel pierwszego wyjazdu wybrałem masyw Okola i Leśniaka w Górach Kaczawskich.

Podejście z wioski Chrośnica na szczyt Okola ma ponad 250 metrów – dowiedziałem się, oglądając mapę. Matko Boska, aż tyle?! Na Roztoczu tyle podejść miewam przez cały dzień, a tutaj – w najniższych sudeckich górach – ćwierć kilometra mam na dzień dobry.

Wiele się tam zmieniło w sposób całkowicie naturalny: wygodne kiedyś ścieżki zarosły krzakami, znikły punkty widokowe zasłonięte wysokimi drzewami albo gęstymi młodniakami, ale skały, bardzo liczne w tym masywie, były dokładnie takie, jakimi pamiętałem je sprzed lat, chociaż dostęp do części z nich jest trudniejszy. Może na skutek zarosnięcia drzewami, ale nie wykluczam drugiego powodu: skutków mojego wieku. Linia wyznaczająca moją trasę jest bardzo poplątana, co w części wynika ze zwykłego u mnie kręcenia się w rodzaju „zajrzę jeszcze tam”, w części jest śladami szukania dróg pamiętanych innymi, niż są teraz.

Próbowałem wejść na szczyt Pańskiej Wysoczki, niewielkiego wybrzuszenia na dużym zboczu Okola. Kilka lat temu była tam poręba, a z niej ładny widok na Przełęcz Widok, końską rodzinę (wzgórza Żróbek, Kobyła i Ogier) i masyw Skopca, a dzisiaj drogę zagroził mi zwarty młodniak świerkowy. Nic to, las ważniejszy jest niż widoki. Niech rośnie.

Na szczytowych skałach Okola jest półeczka, na której kiedyś spotkałem... malarza malującego dobrze widoczną stamtąd Przełęcz Widok i Łysą Górę, dzisiaj widziałem z niej jedynie niewielkie fragmenty



**Łysa Góra ze szczytu Okola**



**Przełęcz pod Wywołańcem, widok ze zbocza Leśniaka**



**Skały masywu Leśniak Okole**

dawnego widoku zasłanianego wysokimi drzewami. W zamian przełęcz można zobaczyć ze zbudowanej kilka lat temu platformy widokowej stojącej blisko szczytu.

Najwięcej kłopotów miałem ze znalezieniem skał wznoszących się w pobliżu Pańskiej Wysoczki. Nie są one w żaden sposób szczególne, ale widoki z nich są ładne, a nadto chciałem tam być, ponieważ o tych skałach wspominałem w jednej ze swoich książek jako miejscu odwiedzanym przez bohaterów. Znalazłem skały, ale najpierw pokluczyłem nieco, nie znajdując takiej ścieżki, jaką przechowywała moja pamięć.

W masywie od dawna było dużo leśnych dróg i ścieżek, a w ciągu ostatnich kilku lat sporo ich przybyło. Część z nich, na przykład te biegnące zygzakami po zboczach, to szlaki rowerowe zwane obecnie z angielskiego single tracks. Ich istnienie zwiększyło, nie tylko na Okolu, ilość ludzi w górskich lasach. Bywa teraz, że zagapiony człek stojący na ścieżce w górskim lesie jest z niej przepędzany dźwiękiem dzwonka rowerowego albo okrzykiem rowerzysty – jakby stał na chodniku ruchliwej ulicy w mieście.

Pod platformą widokową stoi tablica informująca o celu budowy samej platformy i ścieżek: ma nią być mniejsza antropopresja na środowisko, czyli, pisząc po polsku, zmniejszenie negatywnego oddziaływania ludzi na dziką przyrodę. Problem w odwrotnym skutku: budowa punktów widokowych, zwłaszcza w postaci wież, oraz licznych ścieżek dla pieszych i rowerzystów zwiększa presję, nie zmniejsza, bo tam, gdzie więcej ludzi, tam i więcej śmieci oraz hałasu, a mniej zieleni.

Odwiedziłem część skał w masywie, bo na znalezienie wszystkich dnia mało, a są one bardzo malownicze, aczkolwiek wielkich nie ma. Niektóre mają swoje nazwy, na przykład Orle Skały, Kęśniak, Sołtysie Skały, jednak zdecydowana większość jest bezimienna. Nierzadko stojące gdzieś na uboczu, ukryte wśród drzew, coraz bardziej zarośnięte, trwają w zapomnieniu i tylko od czasu do czasu zabłąkany albo dociekliwy człowiek stanie pod nimi, spojrzy i być może dostrzeże ich nierzucającą się w oczy urodę. Przy tej okazji ma szansę zobaczyć albo poczuć coś, co w zasadzie nie ma oblicza: czas liczony milionami lat.

Parę uwag o wyposażeniu.

W czasie tego tygodnia przeszedłem 140 km, przewyższeń nie liczyłem, szacuję je na 4-5 km; program rejestrujący trasy podaje ponad 8 km, ale on zawiąza różnice wysokości. Na szczęście zakwasów mięśni ani



### Skały masywu Leśniak Okole

obtarć na stopach nie miałem. Zakładałem dwie pary skarpetek i chodziłem na przemian w dwóch parach butów średniej twardości (klasa B), zakładając je co drugi dzień (aby dobrze się przewietrzyły), ze skórzanymi wkładkami własnej roboty. Niektóre fabryczne wkładki są niezłe na upały, ale nie ma lepszych nad płat kruponu grubości 3 mm, natomiast zakładanie dwóch par skarpet znacznie zmniejsza prawdopodobieństwo obtarć, zwłaszcza na piętach. Używałem cienkich (jako pierwszych) i drugich nieco grubszych skarpet, jedno i drugie z przewagą włókna coolmax bardzo dobrze izolującego stopę od wilgoci. Uważam, że zwykłe skarpety, zwłaszcza bawełniane, są znacznie gorsze, ponieważ łatwo się przesuwają; trekkingowe natomiast mają w odpowiednich miejscach dodatkowe zgrubienia i ściągacze. Trudno się je zakłada i jeszcze trudniej zdejmuje, ale nie wałkują się na stopach, co sprzyja obtarciom. Buty oczywiście w pełni skórzane, także od środka, bez membran uszczelniających ani innych plastików. Mają one swoje wady, na przykład w skrajnych sytuacjach przemokną, są cięższe od nowomodnych wynalazków, ale zapewniają najlepszy komfort stopom. Dwa ostatnie dni były upalne, temperatura przekraczała 30 stopni, a ja nie czułem parzenia w stopach, a jedynie umiarkowane, niedokuczliwe ciepło. Gorzej było z plecakiem: swoje ważył, skoro samych napojów (herbaty i wody) zabierałem 3-4 litry, a miał, jak chyba wszystkie plecaki, paskudny zwyczaj czynienia podkoszulka na plecach mokrym od potu. Nieprzyjemny był dotyk przepoconych pasów nośnych plecaka; nie wiem, czy ktoś coś poradził na to. Nosilem białą czapkę z daszkiem; trzymam ją specjalnie na letnie wędrówki, ponieważ w upalne dni jest dobrą ochroną głowy. Gdybym chodził tylko często używanymi drogami, mógłbym założyć krótkie spodnie, ale nie nadają się one na marsz niekoszoną łąką z trawami sięgającymi twarzy, tym bardziej na przedzieranie się przez kępy pokrzyw, co zdarza mi się właściwie każdego dnia. W rezultacie najgoręcej było mi w... Tak, właśnie tam.

Dzisiejszą wędrówką rozpocząłem trzecią setkę dni spędzonych na kaczawskich drogach i bezdrożach.

Opisy moich górskich wędrówek, uzupełnione zdjęciami, są w dwóch książkach dostępnych w wielu księgarniach internetowych. To „Sudeckie wędrówki” i „Góry Kaczawskie słowem malowane”.

*Krzysztof Gdula*



**Skąły szczytowe Okola**



**Śnieżka i Łysa Góra widziane ze zbocza Okola**

**NA SZLAKU**  
[www.na-szlaku.net](http://www.na-szlaku.net)

**Polub nas  
na Facebooku!**

# Na Śnieżnik przez Międzygórze

Przypadkiem natknęłam się w Internecie na zdjęcie podpisane jako „polska Szwajcaria”. Widniała na nim drewniana, okraszona balkonami willa w ciemnożółtym kolorze, wyrastająca z rzeki w górskim otoczeniu. Chodziło o Międzygórze – wioskę położoną w dolinie pod Śnieżnikiem, w której zachowała się XIX-wieczna, tyrolska architektura. Tylko skąd w polskich górach tyrolska zabudowa? Nigdy przedtem nie słyszałam o tej miejscowości, jednak od dawna miałam ochotę wybrać się w Masyw Śnieżnika, więc temat mnie zaniepokoił. Zauroczona fotografiami drewnianych budynków, których jak się okazało, jest tam znacznie więcej, postanowiłam przekonać się, czy rzeczywiście jest to tak niezwykła miejscowość.



Wyruszyłam w drogę pod koniec sierpnia – pociągiem do Kłodzka z przesiadką we Wrocławiu. W Kłodzku musiałam się przesiąść na PKS. Dziennie do Międzygórza docierają trzy autobusy jadące z Kłodzka przez Bystrzycę Kłodzką i Długopole. Można więc dotrzeć komunikacją publiczną, choć nie jest to najłatwiejsza opcja – Międzygórze, jak i cały Masyw Śnieżnika leży tuż przy granicy z Czechami. Dla kogoś, kto podróżuje z północy kraju, opcja pociąg – autobus może być męcząca. Moja podróż zaczęła się w Wielkopolsce, więc na miejsce dotarłam dopiero późnym popołudniem.

Po raz pierwszy zobaczyłam Międzygórze w barwach zachodzącego słońca i bardzo spokojnej aurze – innych turystów, poza mną, nie było wtedy w ogóle widać. Wsiadłam z autobusu, którym przyjechały ze mną raptem dwie osoby i zmęczona po całym dniu drogi rozejrzałam się po okolicy... Powitał mnie szum rzeki i drewniane wille w dolinie, nad którą spływały się ocienione szczyty. Zachłysnęłam się tym widokiem i górskim powietrzem. Pensjonat, w którym zarezerwowałam pokój, znajdował się przy ulicy Śnieżnej, blisko od przystanku autobusowego. Tam skierowałam pierwsze kroki, żeby doprowadzić się do porządku po podróży, po czym wybrałam się na pierwszy spacer po okolicy. Jak się okazało, szum potoku, który słyszałam od chwili



przyjazdu był głosem Wilczki – rzeki wypływającej z południowo-zachodniego stoku Śnieżnika, która łączy się z Nysą Kłodzką. O zachodzie słońca Wilczka prezentowała się wspaniale – kręta i kamienista płynęła żywo, co jakiś czas pobudzana przez sztucznie utworzone progi. Posiedziałam przy niej chwilę, odetchnęłam i po chwili odpoczynku wybrałam się na dalsze zwiedzanie. Zdjęcia, które wcześniej oglądałam, oddawały

atmosferę Międzygórza, jednak rzeczywistość jeszcze przerosła moje oczekiwania. Zabudowa wsi zachowała w dużej mierze XIX-wieczny, alpejski klimat, a wszystkie budynki harmonijnie ze sobą współgrają. Jest to prawdziwa perła architektoniczna, której główną autorką jest Marianna Orańska – niderlandzka królowa, która otrzymała Międzygórze razem z innymi miejscowościami należącymi do tzw. klucza strońskiego w spadku po rodzicach. Ponieważ Alpy były jej szczególnie bliskie, przekształciła Międzygórze w kurtort o tyrolskim stylu. W czasie



wojny o miejscu tym zapomniano, dzięki czemu oryginalne, drewniane i kamienno-drewniane wille przetrwały do naszych czasów. Część budynków co prawda popadła w ruinę, część jednak zachowała się w stanie niemal nienaruszonym. Teraz są restaurowane i w większości przekształcane w pensjonaty.

Najbardziej reprezentacyjną częścią Międzygórza jest ulica Sanatoryjna. Tam mieszczą się najbardziej okazałe wille – drewniane i kamienno-drewniane, a szczególnie onieśmiałający jest budynek dawnego sanatorium o łamanym dachu, z wieżą ryglowej konstrukcji. Jak się dowiedziałam, był to największy sanatoryjny budynek w polskiej części Sudetów. Powstał z inicjatywy dra Henryka Janischa, który współpracował z drem Alfredem Sokołowskim przy zakładaniu uzdrowiska w Sokołowsku. Uwagę przyciąga też usytuowana obok budynku sanatorium restauracja o elewacji ozdobionej pruskim murem, z jednej strony prawie całkowicie ukrytej pod bluszczem. Spacerując Sanatoryjną, można poczuć, jakby się przeniknęło do świata „Czarodziej-skiej Góry” albo „Empuzjona”.

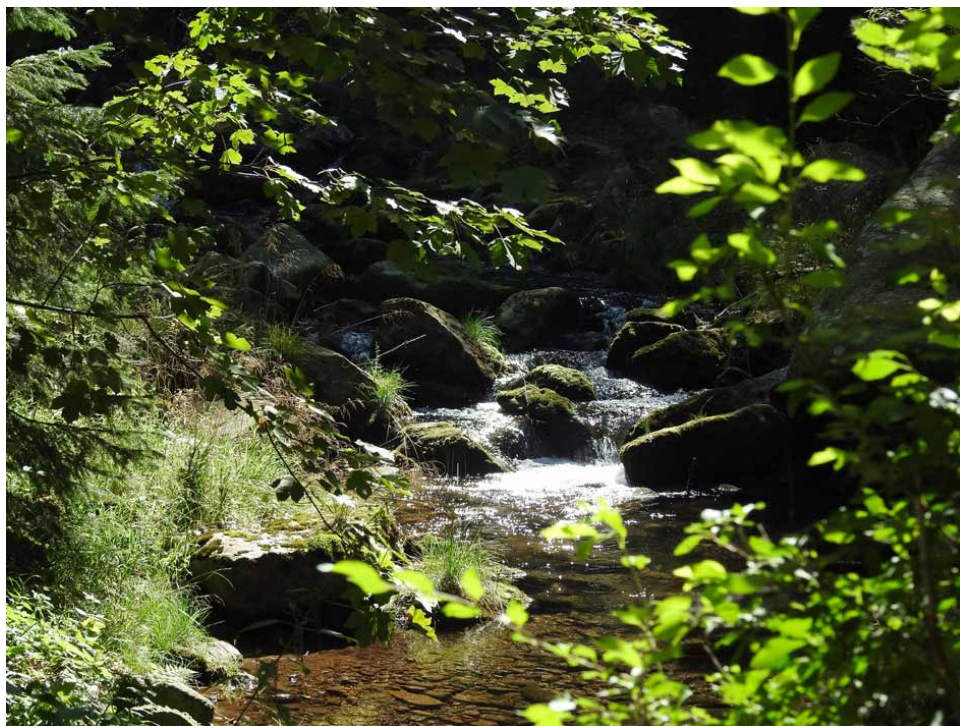
Po Sanatoryjnej wybrałam się na spacer po ulicy Wojska Polskiego. Tutaj także można podziwiać architektoniczne cuda – wille, w których mieszczą się sklepy i restauracje, drewniany kościółek oraz kadr, który widziałam wcześniej w Internecie – drewnianą willę nad rzeką. Stoi ona tuż przy wjeździe do Międzygórza w sąsiedztwie drugiej – w kolorze pistacjowym. Stąd blisko już do jednej z głównych atrakcji – rezerwatu Wodospadu Wilczki i tam właśnie się udałam. Aby dotrzeć do samego wodospadu, trzeba przemierzyć dosyć dużo kamiennych schodków, co jest dodatkową atrakcją, bo po drodze znajdują się ławki i tarasy, z których można



podziwiać wąwóz Wilczki i jego bujną roślinność. Grzmot rzeki spadającej z wysokości 22 metrów rozlega się już przy wejściu do rezerwatu. Jest to drugi pod względem wysokości wodospad w Sudetach zaraz po Kamieńczyku i trzeba przyznać, że wzbudza respekt.

Poza samym Międzygórzem, celem mojej wycieczki był oczywiście Śnieżnik – stąd prowadzi najkrótsza trasa na szczyt, niespecjalnie trudna, ale bardzo atrakcyjna. Na podbój króla masywu wybrałam się następnego dnia po

przyjeździe – czerwonym szlakiem w górę rzeki. Początkowo trasa prowadziła ulicą Śnieżną wzdłuż międzygórskich domów. Szybko jednak zagłębiła się coraz bardziej w las, który miło chłodził w upalny dzień i dalej wiodła lesistym zboczem. Najpierw przyjemną, szeroką drogą z momentami wspinaczki po wystających korzeniach drzew, tworzących jakby naturalne schody, a później coraz węższą ścieżką, coraz śmieiej pnącą się ku górze, w głąb iglastego lasu. Co jakiś czas kłaniały się formacje skalne, po których tańczyły cienie drzew. Czułam lekką zadyszkę, ale górskie powietrze niesło...



Po półtorej godziny marszu ukazała się Hala pod Śnieżnikiem, z której można było podziwiać pierwsze widoki „z lotu ptaka”. Chwila przerwy na kontemplację i ruszyłam dalej. W tym miejscu szlak stawał się coraz hojniejszy w malownicze pejzaże, a po niecałej godzinie marszu z przystankami zawitałam do schroniska „Na Śnieżniku”, od którego na szczyt pozostało już ok. pół godziny wędrówki okraszanej stromymi podejściami. Tutaj krajobraz stawał się coraz bardziej „księżycowy”. Pojawiły się nagie skały, a las małał w oczach do wysokości karłowatych drzew i krzewinek. Słońce przypiekało i... zaczęło wiać. Patrząc na turystów schodzących w dół, dziwiłam się, że są ciepło ubrani. Kilkanaście kroków wyżej żałowałam, że nie zabrałam ze sobą kurtki. Łysy szczyt Śnieżnika był tego dnia bardzo wietrzny. Ale widoki oferował wspaniałe. Jego trawiastą kopułę upodobały sobie szczególnie pustułki. Udało mi się zrobić im kilka ciekawych ujęć podczas zawisania w powietrzu i nurkowania w trawę w pogoni za smakołykami. Z powodu porywistego wiatru nie miałam jednak ochoty zostawać tam zbyt długo. Wracałam niespiesznie, rozkoszując się lasem, skałami i szumem rzeki. W Międzygórzu zameldowałam się późnym popołudniem. Zmęczenie było odczuwalne, ale radość ze zdobycia kolejnego szczytu i odkrycia nowych, pięknych miejsc rekompensowała niedogodności.

Śnieżnik to główny, a często nawet jedyny cel wypraw z Międzygórza, ale Masyw Śnieżnika to znacznie więcej. Kolejnego dnia wybrałam się jeszcze na Igliczną i Czarną Górę, które można połączyć w jeden spacer. Szlak był równie ciekawy i zróżnicowany – prowadził przez lasy i polany, a widoki ze szczytu były wspaniałym zwieńczeniem ponad trzygodzinnej wędrówki. Na dokładkę można jeszcze skosztować spaceru na Żmiłowiec, Smrekowiec albo inne, mniej znane... Im szlak mniej uczęszczany, tym bardziej można poczuć ducha gór i własną duszę.

*Julia Kiestrzyn*

Górski Dom Turysty  
"Pod Biskupią Kopą"  
48-267 Jarnołówek 211  
tel. 077/439-75-84  
www.biskupiakopa.pl  
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



## Kładka w miejsce Zerwanego Mostu w Krościenku

**N**a Piaskach w Szczawnicy w latach 1871-1872 zbudowany został drewniany most, który do historii przeszedł jako Zerwany Most, był pierwszą stałą przeprawą na Dunajcu w tej okolicy. Miał ok. 70 m długości, był zadaszony i pokryty gontem, budowany w systemie kratowym Ibiańskiego. Zniszczony został w wyniku jednej z największej w historii powodzi w Pieninach 16 lipca 1934 r. Do dzisiaj o dawnej przeprawie przypominają zachowane fragmenty przyczółków i filara w nurcie rzeki.

Przez wiele lat intencją władz gminy Krościenko nad Dunajcem było wybudowanie kładki pieszo-rowerowej w tym miejscu, w założeniach miała ona uzupełnić sieć dróg rowerowych Krościenka i Szczawnicy.

W grudniu 2020 r. w trakcie przygotowywania dokumentacji pierwotnie wyznaczono lokalizację w obrębie Pienińskiego Parku Narodowego, co spotkało się z reakcją władz parku i niewyrażeniem zgody. W styczniu 2021 r. dokonano korekty inwestycji. Ostatecznie nową kładkę usytu-



**Most sprzed powodzi w 1934 r.**

owano ok. 500 m poniżej nieistniejącego mostu, a swoją konstrukcją miała nawiązywać do obiektu historycznego sprzed ponad 150 lat.

Kładka po prawej stronie rzeki połączyła się z istniejącą ścieżką rowerową i chodnikiem wzdłuż drogi powiatowej od strony Szczawnicy, a po lewej powstał nowy odcinek drogi gminnej wraz z placem parkingowym i niezbędną infrastrukturą.

Przetarg na budowę kładki wygrała firma Promost – Wisła Sp. z o.o. z Wisły, autorami opracowanego projektu byli: Barbara i Piotr



**Kładka doskonale komponuje się w krajobrazie**

Śliwka. W projekcie uwzględniono betonowe elementy nośne oraz przy-  
czółki, drewniane detale w kolorze  
naturalnej sosny, balustrady ze szkła  
hartowanego, zadaszenie pokryte  
dachówką gontopodobną w kolorze  
naturalnego drewna.

Wykonawcą kładki było Przed-  
siębiorstwo Usługowo-Inżynieryjne  
BUDMOST Rafał Jędrzejek z La-  
skowej w powiecie limanowskim.

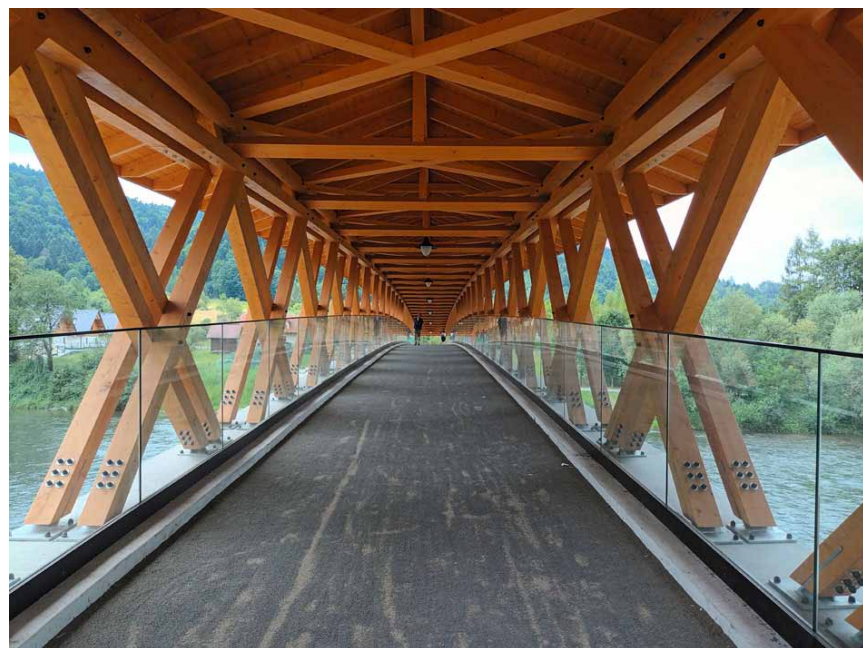
Czytając tekst na tablicy, siłą  
rzeczy przysłuchiwałem się rozm-  
wom osób komentujących i zastana-  
wiających się nad systemem Ibiań-  
skiego. Wprawdzie zadbało o wyja-  
śnienie, że mosty budowane według  
tego sposobu charakteryzowały się  
podwójną kratą równoramienną o pasach złożonych z czterech belek, lecz nie to było kwestią, a nazwanie  
tego systemu.

Wacław Ibiański to w naszej historii barwna postać, którą przybliżę. To polski powstaniec styczniowy, in-  
żynier budowy dróg i mostów urodzony w 1843 roku w Bakojciach na Litwie, zmarły 9 listopada 1893 roku  
we Lwowie.

Studiował inżynierię w Petersburskim Instytucie Technologicznym. Po studiach udał się na emigrację do  
Włoch i został tam adeptem Polskiej Szkoły Wojennej. W czasie powstania styczniowego walczył w oddziale  
ks. Antoniego Mackiewicza, a następnie pod pseudonimem Robak dowodził oddziałem w powiecie kowień-  
skim. Brał udział m.in. w bitwach pod Sesikami, Różą i Ibianami.

Po upadku powstania kształcił się na politechnice w Zurychu. Potem pracował przy budowie kolei na Wę-  
grzech, a następnie w Galicji. Około 1877 roku założył własne przedsiębiorstwo budowy mostów. Jako pierw-  
szy w Galicji zastosował w budownictwie mieszkalnym żelbetowe stropy. Opracował nowy typ drewnianych  
mostów kratowych, m.in. według jego systemu wybudowano mosty na Dunajcu na drogach Zakliczyn – Nie-  
dzica (1878), Krościenko – Szczawnica, Słotwina – Nowy Sącz (1891) oraz nad Sanem Jarosław – Bełżec  
(1885), nb. największy z nich, rozpiętość każdego z pół mostowych wynosiła po 44 m. Na terenie Lwowa w  
nowatorski sposób przesklepił rzekę Peltew.

Ibiański w 1892 roku rozpoczął budowę fabryki sadzy z gazu wydobywanego z odpadów naftowych,  
zmarł w trakcie budowy rok później. Spoczywa na Cmentarzu Łyczakowskim  
we Lwowie.



**Pośrodku kładki**



**Kładka z lewego brzegu rzeki**

W maju miałem okazję pobyc w Pie-  
ninach, kładka była jeszcze zamknięta,  
trwały prace wykończeniowe w jej oto-  
czeniu, w lipcu zobaczyłem ją już w peł-  
nej krasie. Porównywałem sobie zdję-  
cia z lat 30. XX wieku, kładka nawiązu-  
je konstrukcją do zerwanego mostu, tyle  
że jak gdyby w miniaturze, w końcu to  
kładka, a nie most i bez filaru w nurcie  
rzeki, świetnie komponuje się w krajo-  
brazie i idealnie wpisuje w historię re-  
gionu. Po obu jej stronach zadbało o po-  
stawienie tablic informujących o kładce  
w aspekcie Zerwanego Mostu. W sumie  
udana inwestycja.

*Ryszard M. Remiszewski*

# Co było, a nie jest, nie pisze się (???) w...

Były i są na całym dostępnym nam świecie – i wiele ukrytych przed naszym wzrokiem – miejsca i obiekty, które przepadły na zawsze. Dotyczy to także ludzi. W Polsce jest ich przykładów „od groma”, mrowie, czyli bez liku. A jedynie FOTOGRAFIA i fotograf mogą poświadczyć, że kiedyś istniały, a nawet były piękne. Ale czas (i ludzie!!!) sprawił / iły, że stawały się brzydkie i odrażające. Najczęściej są to zabytki, pamiątki z przeszłości, bardzo często po prostu... LUDZIE i ich dokonania, o których wiemy, że byli kiedyś bliżej lub dalej wśród nas.

To najprawdziwsza prawda, fotografia prawdę mówi w miliardach codziennych sytuacji i widomych przykładów. A pewnie dlatego, że utrwała w swoistej technicznej pamięci to, co było. Zatem – mam to przekonanie – CO BYŁO, A NIE JEST, TEŻ PISZE SIĘ W REJESTR.

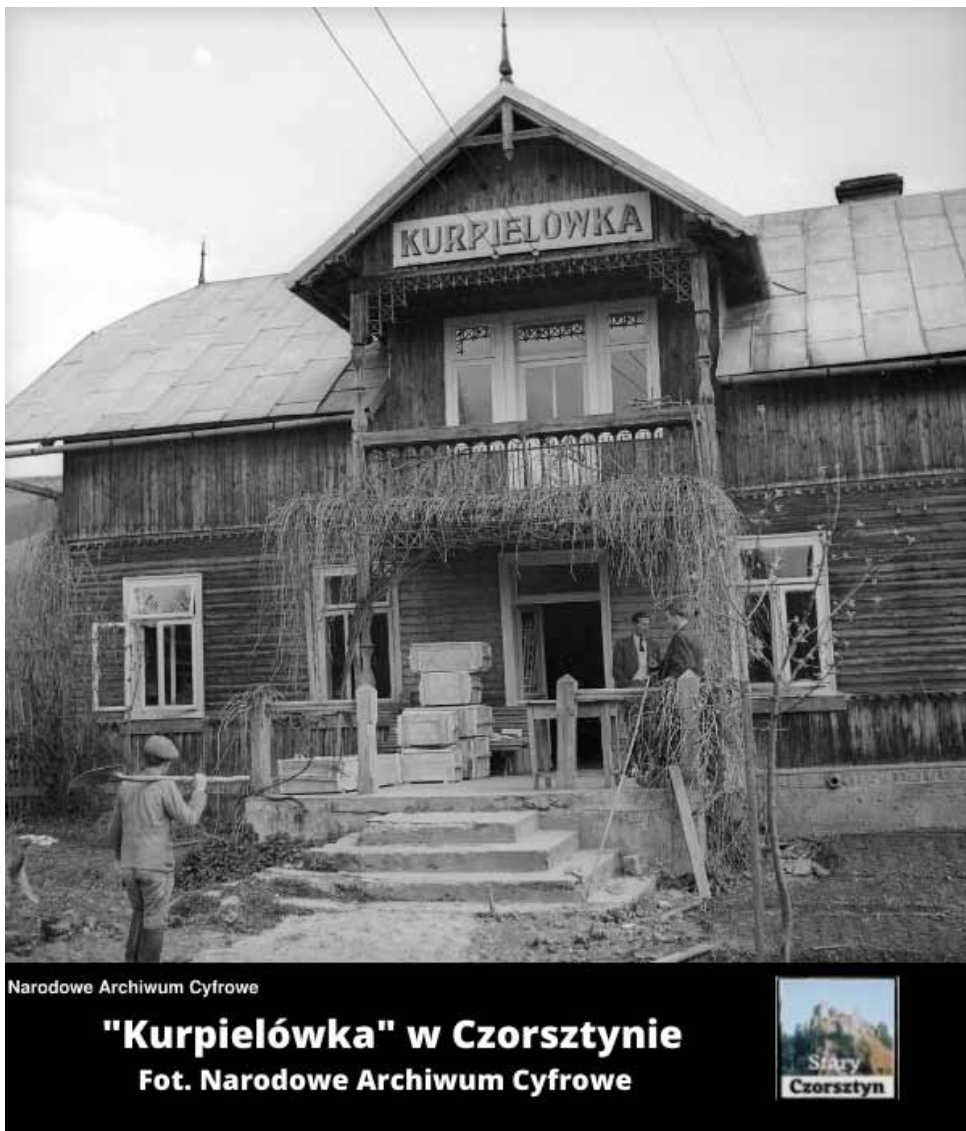
Tak jest do dziś u podnóża zamku Wronin, czyli średnio-wiecznej strażnicy granicznej nad Dunajcem. Kiedyś, onegdaj, już dość dawno temu, czyli przódzi (jak mawiał pewien stary gazda) był obszerny drewniany dom z niewielką balustradą na ganku i balkonem. Pod szczytem fasady wisiała tablica z napisem „Kurpielówka”.

Budynek był w stylu letniskowym, ozdobny i charakterystyczny dla miejscowości turystycznych w wielu krajach. Dom, willę, pensjonat zbudował w swoim rodzinnym Czorsztynie nowotarski handlowiec **Jakub Kurpiel** (1898–1981), po ślubie z Honoratą z domu Wroną, w latach trzydziestych XX stulecia.

Po drugiej wojnie światowej prowadził jedną z nielicznych w regionie firm fotograficznych. Obsługiwał okolicznych mieszkańców, uroczystości kościelne, prywatne i państwowe, liczne wycieczki szkolne, wędrujących i stołujących się u niego turystów. Do dziś fotografie Kurpiela zdobią wnętrza mieszkań, albumy rodzinne, kroniki czorsztyńskiej straży pożarnej. W czasach posuchy kartograficznej zaopatrywał turystów w schematyczne mapki szlaków pienińskich i spiskich.

Przestronny rodzinny dom dość szybko stał się pensjonatem i powszechnie znaną jadalnią ze stacją turystyczną Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Był swoistym portem nad lewym brzegiem Dunajca, gdzie już w pierwszej połowie XIX w. rozpoczęły się popularne rejsy turystyczne na drewnianych tratwach przez unikatowy, malowniczy przełom żywiolowej górskiej rzeki oplatającej masyw wapiennych Pienin. Na prawym brzegu rozpoczynały się szlaki turystyczne i wędrowki krajoznawcze po słowackim Spiszu.

Pensjonat Kurpielówka był znany również dlatego, że **Jakub Kurpiel**, a potem jego syn **Tadeusz Kurpiel** prowadzili nie tylko schronisko i jadalnię, ale także studio fotograficzne. W razie niepogody pensjonat-kwatera stawała się miejscem pocieszenia dla turystów podczas przerwy w wędrowce. Do legendy przeszły opisane wielokrotnie przez nestora polskiej turystyki i krajoznawstwa **Mieczysława Orłowicza** (1881–1959),



Narodowe Archiwum Cyfrowe

**"Kurpielówka" w Czorsztynie**

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



zakochanego w Pieninach i rejsach Dunajcem, wspomnienia o biesiadach w restauracji **U Kurpiela** ze smakowitymi posiłkami znanymi jako rosół z kury lub kura w rosole, dawniej również z węgierskim winem i góralską lub cygańską kapelą. Wspomnienia o pensjonacie i prostych posiłkach – zsiadłym mleku z ziemniakami i zimną wodą z sokiem malinowym albo herbacie z prądem – zapisane w kronikach pienińskiej turystyki legły na zawsze na dnie Jeziora Czorsztyńskiego.

Jakub Kurpiel z Czorsztyna był jednym z trzech **braci Kurpielów**. W latach trzydziestych XX w. ożenił się z Honoratą – jak mówiono w okolicy: miejscową szlachcianką – i wtedy wybudował rodzinne gniazdo – drewnianą Kurpielówkę. Willa miała być znacznie większa, jak kilka sąsiednich pensjonatów, a potem domów wczasowych, o czym wspomina **Ryszard Kurpiel**, wnuk Karola, brata Jakuba.

Obrazy zapamiętane przez turystów pienińskich pojawiają się czasem jak legendarne utopce, czyli duchy wyzierające spod lustra Jeziora Czorsztyńskiego, żywiołu groźnej górskiej rzeki zahamowanego zaporą. Wieś z podzamczem przez wiele lat było to miejsce tętniące życiem. Ale tętno zamarło i nawet jego echo zniknęło pod wodą sztucznego jeziora. Nie ma już starego Czorsztyna. Nad nim, jeziorem i zaporą z elektrownią sterczą częściowo uratowane przed zupełnym rozpadem ruiny zamku Wronin, czternastowiecznej kamiennej strażnicy granicznej osadzonej na wapiennych skałach.

Opowieści rodzinne i opisy w przewodnikach po dawnym Czorszynie pochodzą z lat od sześćdziesiątych do dziewięćdziesiątych XX w. Dla wielu osób i rodzin Czorsztyń był etapem w górskiej wędrówce, miejscem spędzania wakacji w dzieciństwie, obozów harcerskich, sportowych i archeologicznych. Droga biegła przez wieś, od stóp jednego zamku do drugiego. Wzdłuż drogi płynął leniwie Dunajec, ale bywał on też groźny i niszczycielski, jak podczas powodzi w lipcu 1934 r. Na brzegu po stronie Czorsztyna znajdowała się przystań flisacka z kajakami i łódkami.

W centrum starego Czorsztyna w latach sześćdziesiątych wielką sympatię turystów zaskarbiła sobie **restauracja Pieniny**, gdzie mieścił się również hotel. Była to jedyna w swoim rodzaju na pograniczu Pienin i Spisza jadalnia, urządzona w okazałej willi **Leopolda Szperlinga**, przedsiębiorczego Żyda z Nowego Targu, który rozwinął swój interes w Czorszynie na początku XX w. W 1909 r. Szperling kupił od **Drohojowskich** – właścicieli lasów i gruntów czorsztyńskich, inicjatorów ochrony terenu wokół zamku Wronin i **Pienińskiego Parku Narodowego** – okazałą drewnianą willę z roku 1847.

Początkowo urządził w niej staromodną karczmę i zajazd. W latach 1928–1930 powodzenie przedsięwzięcia skłoniło właściciela do rozbudowy karczmy o kompleks hotelowy. Po drugiej wojnie światowej obiekt zmienił się w restaurację Pieniny oraz nowoczesnie urządzony w **stylu góralskim hotel**, który przetrwał do końca lat osiemdziesiątych XX wieku, czyli do czasu budowy **zapory na Dunajcu**. Po 1945 r. budynek nadal funkcjonował dzierżawiony najpierw przez PTTK, a później przez Orbis.

Jak wspominają mieszkańcy, dawny Czorsztyń tętnił życiem i funkcjonował w rytmie pracy flisaków, którzy po dniówce spotykali się przy skrzyżowaniu, nad kufkami piwa w kioskach i w restauracji Pieniny.

Po rozpoczęciu budowy zapory (w latach 1975–1997 w Czorszynie oraz w przysiółku Zamek, należą-

cym do wsi Niedzica) zapadały decyzje dotyczące losu innych, mniej znanych obiektów w Czorszynie – kilkudziesięciu domów mieszkalnych, pensjonatów, domów Funduszu Wczasów Pracowniczych. Restaurację Pieniny z hotelem **rozebrano w 1994 r. zgodnie z zasadami sztuki konserwatorskiej**, co było szczególnie ważne, bo drewniana budowla wymagała troski i ochrony. W latach 1997–1998 została postawiona w nowym miejscu, na stoku Stylchyn.

Restauracja w nowym siedlisku stała się jednym



**Restauracja Szperlinga „Pieniny” w Czorszynie**

z łownych obiektów kompleksu nazwanego **Osadą Czorsztyń** – częściowo zrekonstruowanej zabudowy turystycznej nad Jeziorem Czorsztyńskim. Niestety z biegiem czasu przedsięwzięcie okazało się jedynie pobożnym życzeniem. Dziewięć drewnianych pensjonatów z XIX i początku XX w., chałupy, budynki gospodarskie, sypance – kamienne piwniczki z drewnianymi lamusami nie uchroniły się od dewastacji i niszczenia. Hotel Szperlinga, uratowany przed zalaniem wodami jeziora, dziś jest zaniedbany. W 2023 r. historyczny zespół Osady Czorsztyń wpisano do rejestru zabytków.

Do czasu rozpoczęcia budowy zapory i modelowania zbiornika w Czorsztyń turystyka kwitła w zasadzie bez przeszkód i konfliktów. Uwagę licznych turystów zwracały **ruiny zamku Wronin, stylowy dwór Drohojowskich** – właściciele znacznej części Pienin, **kapliczka, pustelnia skautmistrzyni Olgi Małkowskiej** (1888-1979), remiza ochotniczej straży pożarnej, ciesząca się wielkim powodzeniem **wytwórnia lodów i baseny kąpielowe** w wyrobiskach żwiru. Mieszkańcy Czorsztyńa gościli turystów wędrujących z Górców i Pienin na Spisz i w Tatry. Kilkunastu żołnierzy Wojsk Ochrony Pogranicza pilnowało granicy państwowej.

Jakuba i Honoratę Kurpielów wspomina Ryszard Kurpiel, rdzenny czorsztyńianin, posiadacz wielu pamiątek rodzinnych, który w latach sześćdziesiątych XX w. bywał w Kurpielówce jako mały chłopiec: *W mojej pamięci zachowały się obrazy wnętrza domu, obrazy, meble i ta niepowtarzalna atmosfera. Jakub był jak na tamte czasy bardzo oryginalnym człowiekiem. Jako jedyny w Czorsztyń miał w okresie przedwojennym sportowy czerwony kabriolet, który budził powszechne zainteresowanie zarówno mieszkańców jak i turystów. Wtedy sportowych samochodów nie widywano na wsi. Pamiętam, że to auto stało w garażu jeszcze w latach siedemdziesiątych XX w., ale wtedy już stryjek nim nie jeździł.*

W wielu domach w Czorsztyń, w rodzinnych albumach, znajdują się do dziś zdjęcia z charakterystyczną pieczętką: „**Kurpiel Jakub, Czorsztyń, KURPIELÓWKA telefon nr 5**”. W rodzinie Jakuba i Honoraty pozostały pamiątki z wnętrza willi: kilka fotografii, meble i obrazy pędzla **Mieczysława Krzyżaka** malowane m.in. właśnie w Kurpielówce.

Kurpielówka, podobnie jak cały stary Czorsztyń z pensjonatami i licznymi domami wczasowymi, przegrała nierówny pojedynek z zaporą i leżą na dnie zbiornika czorsztyńskiego. Spod wody nie wydobydzie się nawet echo historii zdarzeń i pamięci o ludziach tej okolicy. Ale – jak w odniesieniu do losów ludzi – NON OMNIS MORIAR, fotografia świadczy doskonale „jak dawniej bywało”. I w ten sposób CO BYŁO, CHOĆ NIE JEST..., PISZE SIĘ W REJESTR naszej pamięci krajoznawczej.

*Tomasz Kowalik*

---

## Muzeum czekolady jakiego nie było

**M**amy kilkadziesiąt rodzajów muzeów, ale w Warszawie powstało pierwsze w Polsce i jedno z nielicznych na świecie muzeum słodkie. Po prostu **MUZEUM CZEKOLADY**. Dokładnie rzecz biorąc, osobliwa najnowsza placówka muzealna znajduje się na Pradze przy ul. Emila Wedla 5, nad Jeziorkiem Kamionkowskim, po sąsiedzku ze znanym Teatrem Powszechnym, na terenie znanego, powstałego przed bez mała stuleciem (1927 r.) przy ul. Zamoyskiego, kompleksu fabrycznego i formalnie ma nazwę **Muzeum Fabryka Czekolady**.

Obiekt unikatowy wśród naszych placówek krajoznawczych. Wypada jednak zastrzec, że smaki czekolady bywają także bardzo różne - gorzkie, słodkie, nadziewane, owocowe, z orzechami, białe, różowe. Aby uzyskać miążgę kakaową i tłuszcz kakaowy, ziarna kakaowca poddaje się fermentacji, suszeniu i rozcieraniu. Światowy Dzień Gorzkiej Czekolady obchodzony jest 7 lipca. W Polsce świętowany jest **Dzień Czekolady 12 kwietnia**.

Polskie przepisy stanowią, że czekolada jest produktem złożonym z wysuszonej masy kakaowej i cukrów, który zawiera nie mniej niż 35 procent suchej masy kakaowej. Czekolady mogą być wzbogacone smakowo nadzieniem włoskim, z migdałem, z maliną, z truskawką, z wiśnią, z żurawiną, z jagodami, z imbirem. Zatem czekoladowa różnorodność, która może zaspokoić nasze rozmaite upodobania smakowe.

Do wyjątkowych wyrobów czekoladowych firmy E. Wedel należy czekolada Jedyna. To unikat wśród polskich słodczy, bowiem jest obecny na rynku już od 1930 roku !!! Ta gorzka czekolada o niezmiennym nazwie i w charakterystycznym opakowaniu pod tą nazwą pojawiła się na rynku w 1930 roku i przez minione 94

lata jest pożądaną odmianą polskiej czekolady. Jedyną wymyślił sam Jan Wedel. Opakowanie zaprojektował słynny ilustrator Karol Śliwka. Warto zaznaczyć, że czekolada ta produkowana jest do tej pory i dostępna w tej samej szacie graficznej.

Wypada dodać kilka informacji o „wynalazcy” Jedynej. To Jan Wedel (1874-1960), potomek Karola i Emila Wedlów, twórca jednej z najbardziej zna-



nanych polskich fabryk cukierniczych, czyli fabryki czekolady na warszawskim Kamionku przy ul. Zamoyskiego 28/30. Powstała w tym samym do dziś istniejącym miejscu w 1851 roku, a od 1936 roku miała nawet własny, polskiej konstrukcji, samolot reklamowy RWD 13, a oprócz tego liczne udogodnienia socjalne, jak np. przedszkole oraz klub sportowy ze znaną drużyną kolarską „Rywal”.

Na pomyslność firmy złożył się twórczy wysiłek kilku pokoleń rodziny Wedlów. Do Warszawy pierwszy przybył z Meklemburgii Karol Ernest razem z synem Emilem (1841-1919). To on założył w 1850 roku pierwszą w Warszawie wytwornię czekolady przy ul. Miodowej. Wkrótce przeniósł ją na ul. Szpitalną, gdzie fabryka i sklep firmowy były kilkanaście lat, a do dziś pozostał na rogu Szpitalnej i Mazowieckiej stylowy sklep firmowy i jedna z kilku w stolicy pijalnia czekolady. W 1927 roku rozwój firmy osiągnął taki poziom, że Jan Wedel (syn Emila) rozpoczął wielką inwestycję przy ul. Zamoyskiego na Pradze nad Jeziorkiem Kamionkowskim.

Firma „E. Wedel” SA dotrwała pomyslnie do września 1939 roku i wznowiła działalność po wojnie, ale władze pozbawiły Jana Wedla wszelkiego wpływu na nią ze względów politycznych, bowiem uznano go za wstrętnego kapitalistę. Do najbardziej znanych i stylowych budynków wedlowskich należą kamienice przy ul. Szpitalnej w Śródmieściu oraz na rogu ulic Madalińskiego i Puławskiej na Mokotowie z dawnym sklepem firmowym.

Odbudowana fabryka słodczy i kilka sklepów firmowych działały jako Zakłady Przemysłu Cukierniczego im. 22 Lipca z dodatkiem w nazwie „d. E. Wedel”. Dopiero w 1990 r. zasłużona dla polskiego przemysłu spożywczego firma wróciła do dawnej nazwy jako spółka Skarbu Państwa, w której udziały kupił amerykański koncern PepsiCo Foods International. Liczne kolejne przekształcenia własnościowe doprowadziły w 2010 roku do przejęcia własności przez japońską firmę Lotte.

Wśród oryginalnych i opatentowanych wyrobów firmy E. Wedel od prawie 95 lat jest bardzo popularna na rynku cukierniczym czekolada gorzka Jedyna oraz ręcznie zdobione polewą czekoladową Torcik Wedlowski i cukierki Mieszanka Wedlowska, a także sławne Ptasie Mleczko stale obecne w sprzedaży, które zaczęto wytwarzać w 1936 roku !!!

Wyroby cukiernicze firmy E. Wedel należą do nielicznych klasycznych marek wśród polskich produktów spożywczych. Są rozpoznawalnym znakiem towarowym o długoletniej tradycji zarówno pod względem jakości, wzornictwa wyrobów, ich opakowań i zdobnictwa pojemników papierowych czy blaszanych. Ich kształt graficzny wiele razy był wiązany ściśle z twórczością wybitnych polskich plastyków, jak w XX-wiecznych latach 30. z osobą i twórczością Zofii Stryjeńskiej, a w latach 60. Karola Śliwki - wybitnego grafika i twórcy sepek znaków firmowych.

*Tomasz Kowalik*



# Na rowerze przez Beskid Sądecki, Pogórze, Beskid Niski i Pieniny. Część 4. – ostatnia. Finał, czyli za plecami Wysokiej i nad Dunajcem

Siądmy dzień naszej wyprawy to dzień ostatni. Głównym punktem programu miał być przejazd Droga Pienińską nad Dunajcem od Czerwonego Klasztoru do Szczawnicy. To miała być przysłowiowa „wisienka na torcie”. Jednak, aby do tego doszło, trzeba było do Drogi Pienińskiej dojechać z Piwnicznej, miejsca przedostatniego noclegu. Gdyby jechać przez Kosarzyska, Suchą Dolinę, dalej górami przez Obidzę i Litawcową wyszłoby 16 km. Taką trasą jechaliśmy już w maju ubiegłego roku. Jedziemy jednak na ciężko, z sakwami, więc wybraliśmy drogę okrężną. Teraz czekał nas przejazd przez Słowację szosą nr 68 prowadzącą od dawnego przejścia granicznego w Mnišku nad Popradem do Popradu i Prešova. Odcinek tą drogą liczył 16 km do Starej Lubovny. Szesnaście kilometrów to niedużo, tyle że prawie 3/4 trasy to solidny podjazd na Sedlo Vabec, przełęcz liczącą 766 m n.p.m. Generalnie podjazd niezbyt stromy, ale z dodatkiem kilku mocniejszych odcinków i serpentyn pod samą przełęczą. Wysokość n.p.m. miejsca startu z pensjonatu położonego nad Popradem to 380 m. Do pokonania było zatem 386 m przewyższenia. Do Mniška dojechaliśmy biegnącą z dala od dużego ruchu pojazdów ulicą Węgierską, dalej ul. Podolik i dopiero w rejonie dawnego przejścia granicznego wjechaliśmy na drogę nr 68. Bardzo sympatyczny odcinek wąską drogą ukrytą na zboczu z podjazdem do tablic

oznaczających koniec Polski i początek Słowacji, od których zjazd w Dolinę Popradu do Mniška. Była niedziela rano, na szosie ruch niewielki, widzieliśmy głównie samochody z polskimi numerami, nierzadko uformowane w niewielkie konwoje. Pomyślałem wtedy (może niesłusznie), że to miłośnicy grillowania po wyczerpaniu zapasów, bynajmniej nie karkówki i kielbasy w sobotni wieczór, jechali po „środki rozweselające” do słowackich sklepów. Jako się rzekło przed nami podjazd na Sedlo Vabec, nie powiem, dało się jechać. Początkowe kilometry całkiem niewinne, lekko pod górę, niemal nieodczuwalnie. Naprawdę stromo zrobiło się w pobliżu miejscowości Kremná, skąd szosa wznosi się kilkoma solidnymi zakosami. Kilka mocniejszych podjazdów pokonywałem z krótkimi przerwami, odcinkami mniej więcej po 250 m. Tu dodam, że słońce nie próżnowało. Wreszcie po pokonaniu ostatniej serpentyny zatrzymujemy się na przełęczy, a tam... widok jak z obrazka. Pięknie prezentują się stamtąd Tatry. Zatrzymujemy się na dłuższą chwilę, by dać odpocząć mięśniom



**W Mnišku nad Popradem**



**Tatry z Sedla Vabec**

nóg, napić się i napatrzeć na Tatry. Na przełęczy jest spory placyk, więc nie byliśmy jedynymi „gapiami”, chyba mało kto nie zatrzymuje się w tym miejscu.

Nagrodą za wysiłek włożony podczas wjazdu na przełęcz był zjazd do Starej Lubovňy. Różnica wysokości to około 250 m, ale na dość krótkim odcinku, bo niewiele ponad 4 km, więc prędkość przy tej różnicy wysokości była całkiem słuszną, rzekłbym „poddźwiękowa”. Podjazd z Mniška na Vabec liczył kilometrów 12, z przełęczy w dół tylko 4. Na pierwszym skrzyżowaniu w Starej Lubovňi skręcamy w prawo na zachód, na drogę nr 77. Przed oczami piętrzyły się Tatry. Po 4.5 km odbijamy znowu w prawo ku północy na lokalną drogę, którą pojechaliśmy do Czerwonego Klasztoru. Po niewielkim podjeździe z miejscowości Hniezdne zaczęły się widoki w kierunku Małych Pienin z Wysoką na czele. Wąski asfalcik wije się, coraz to opadając, to wznosząc łagodnie. Trzeba było od czasu do czasu zatrzymać się, by zrobić zdjęcie. Przejeżdżamy przez Kamienkę, dwujęzyczna tablica z nazwą miejscowości przypomina, że to też kraina Łemków. Wyjeżdżamy na Przeł. Korbalová (Straňanské Sedlo) 731 m n.p.m. Ani się obejrzeliśmy, a pokonaliśmy 211 m podjazdu ze Starej Lubovňi. Stąd pieszy szlak zielony wiedzie na grań Małych Pienin pod Wysoką, a zmotoryzowani turyści zostawiają tu samochody przed „atakami szczytowym” na Wysoką właśnie. Kolejna mijana większa miejscowość to Vel’ky Lipnik. Tu „z przyczyn technicznych” zatrzymujemy się pod wiatą przystanku autobusowego. Od jakiegoś czasu schodziło powietrze w tylnym kole roweru Andrzeja. Trzeba było sprawdzić przyczynę. Okazało się, że trafił na solidny gwóźdź. Postój i wymiana dętki. Była to jedyna awaria na całej tygodniowej trasie. Do Czerwonego Klasztoru już



**Tatry z drogi nr 77**



**Dojazd do Kamienki**



**Kamienka to też kraina Łemków**

niedaleko, pojawiają się pierwsze pienińskie turnie, a widok zamykają Trzy Korony. Wjeżdżamy do Czerwonego Klasztoru, opuszczamy szosę i ruszamy Drogą Pienińską wzdłuż Dunajca. Przejazd tą drogą na pewno nie jest przereklamowany, z tym, że lepiej przemierzać ją poza sezonem i poza weekendami. My trafiliśmy tam w niedzielę, więc na drodze gęsto było od rowerzystów, piesi w wyraźnej mniejszości. Po drodze dwa foto-stopy, przyglądaliśmy się kajakarzom i pontoniarzom spływającym Dunajcem. Przed Szczawnicą robi się naprawdę gęsto, trzeba dobrze uważać, bo nie wszyscy uczestnicy ruchu zachowują się odpowiednio: lewą stroną, środkiem, ekipy rodzinne lub towarzyskie całą szerokością, małe dzieci na rowerkach biegowych od lewej do prawej, jak kto „umi” i jak komu pasuje. Nie brakuje ignorantów – „ścigantów”, większość na rowerach z elektrycznym wspomaganie (bez komentarza, a przydałby się).

Szczawnica. Zatrzymujemy się na obiad, za nami ponad 50 km z dwoma solidnymi podjazdami, mniejszych nie licząc. Jest połowa dnia, na końcówkę trzeba się posilić. Zostało jeszcze nieco ponad 8 km. Pojechaliśmy przez Szczawnicę promenadą pieszo-rowerową nad Grajcarkiem, potem szosą przez Szlachtową do Jaworek, gdzie czekał nasz samochód zostawiony u gościnnych gospodarzy kwatery. Podsumowanie dnia. Dystans 61.4 km, czas przejazdu netto 4 godz.33 min, średnia prędkość 13.5 km/godz., całkowita suma podjazdów 796 m. W podsumowaniu całej wyprawy statystyka wygląda następująco. Siedem dni, łącznie ok. 511 km, suma podjazdów wyniosła 4597 m, uśredniając wychodzi dziennie 73 km, 656 m podjazdów, zaś średnia prędkość to 14.4 km/godz.

*Juliusz Wystouch*

*Zdjęcia: Juliusz Wystouch  
i Andrzej Wystouch*

**Jaworki, koniec wyprawy**



**Na Przełęczy Korbalovej**



**Rzut oka na Dunajec**

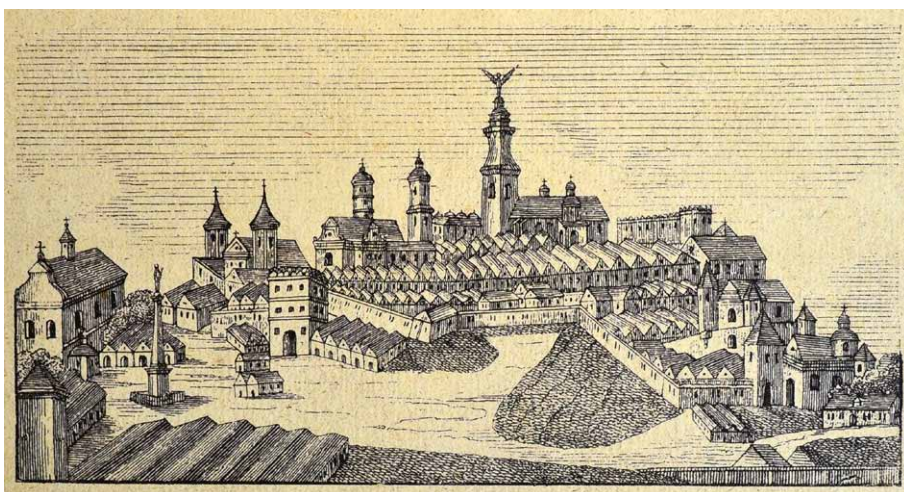


# Trzy domy. Jarosław

Dzisiejszy Jarosław to 35-ty-sięczne miasto powiatowe w województwie podkarpackim. Ani wielkie, ani małe, za to o historii sięgającej daleko w przeszłość. Okresem jego świetności był wiek XVI i pierwsza połowa wieku XVII, kiedy to położone na skrzyżowaniu szlaków kupieckich miasto było najważniejszym punktem na trasie między Krakowem i Lwowem. W 1501 r. otrzymało ono prawo składu towarów. Na trzy doroczne jarosławskie jarmarki, które uchodziły za jedne z największych w Europie, przyjeżdżało do 30 000 osób. Obok Węgrów czy Ormian, których przypominają dziś nazwy ulic „Węgierska” i „Ormiańska”, byli to Grecy, Włosi, kupcy z Lubeki czy Flandrii, a nawet z Turcji i Persji. Mieszczanie zapewniali przybyłym izby do zamieszkania, wyżywienie, pomieszczenia na składowanie towarów, stajnie i wozownie. Wynajęcie takiego lokum na kilkutygodniowy jarmark kosztowało w Jarosławiu prawie tyle samo, co w największych ośrodkach handlowych Niemiec czy Holandii i było często droższe niż w Krakowie czy Lwowie. Po owych latach prosperity pozostały do naszych czasów liczne pamiątki, w tym cały szereg domów mieszczańskich, wśród których wyróżnia się zespół kamienic bogatych kupców, ze względu na specyficzną dyspozycję wewnątrz zaliczanych do typu „kamienic jarosławskich”.

Domy te były wzorowane na typowych dla Bliskiego Wschodu budowlach nazywanych *fonduku*. Charakteryzowały się wysokim wewnętrznym dziedzińcem (zwanym tu wiatą) oświetlonym świetlikami wyprowadzonymi ponad dach nadbudowy. Najważniejszym pomieszczeniem kamienicy jarosławskiej była tzw. „wielka izba” usytuowana zwykle w głębi posesji, pomieszczenie, do którego zapraszano kontrahentów w celu dobicia targu i podpisania umowy sprzedaży. Wnętrze to miało podkreślić status materialny gospodarza, dbano więc o jego bogaty wystrój: zwieńczone zwykle pięknym sklepieniem lub belkowanym stropem, zdobione było sztukaterią i malowidłami.

Do składowania towarów wykorzystywane były także piwnice drążone w miękkiej skale lessowej, której warstwa pod powierzchnią Rynku ma grubość do ok. 30 m. Często nawet trój-kondygnacyjne, sięgające głębokości 12 m, utrzymujące cały rok względnie stałą temperaturę, dobrze przewietrzane, znajdowały się



Widok Jarosławia w II poł. XVII w. (z ekspozycji Muzeum w Jarosławiu)



Trzy domy: (od prawej) kamienice Orsettich, Attavantich i Gruszewiczów



Kamienica Orsettich, brama wejściowa

pod większością domów na terenie Starego Miasta. Podziemia te, z czasem zapomniane, niekonserwowane, poczynając od końca XIX w. stały się zagrożeniem dla miejskiej zabudowy: były zatapiane przez wody pochodzące z opadów i nieszczelnych kanalizacji, co w połączeniu z rozmywaniem górotworu lessowego powodowało osiadanie budynków, pękanie ich ścian lub całkowitą destrukcję. Wymusiło to podjęcie w 1962 r. bezprecedensowej, wielkiej akcji ratowania jarosławskich zabytków przez naukowców z krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej i górników z Przedsiębiorstwa Robót Górniczych w Bytomiu.



**Fragment ekspozycji w podziemiach poświęcony dawnym jarmarkom**

Tytułowe „Trzy domy” stoją obok siebie w południowo-wschodniej pierzei jarosławskiego Rynku. Pod numerem 4 znajduje się zdecydowanie najpiękniejszy dom mieszczański Jarosławia zbudowany w latach 1570-1585. Jego nazwa - kamienica Orsettich - wywodzi się od nazwiska zamożnego, włoskiego kupca, Wilhelma Orsettiego, który ten nabyty w 1633 r. dom przebudował w następnych latach na późnorenesansową, wielkomieszczańską rezydencję. Orsetti, pochodzący z Lukki, osiadł w Krakowie. Handlował jedwabiem, suknem włoskim, a także węgierską (na dzisiejsze warunki: słowacką) miedzią oraz artykułami z żelaza i innych metali. Swoje interesy prowadził również we Lwowie, w Warszawie, Lublinie, Poznaniu i Gdańsku. Księżna Anna Ostrogska, właścicielka Jarosławia, doceniała jego działania, życząc mu, by jego kamienica służyła „*ku ozdobie miastu i pożytkowi*”. Wyjątkowość architektoniczna kamienicy sprawiła, że w XIX w. nazywano ją „starym zamkiem”.

Wspomniane wyżej problemy związane z zapadaniem się jarosławskich budowli nie ominęły i kamienicy Orsettich. W latach 30. XX w. zaczęła się odchylać jej ściana zachodnia, pękały mury i ozdobna attyka. Spowodowało to nawet petycję miłośników miasta do burmistrza Sierankiewicza z propozycją wykupienia obiektu przez miasto i jego gruntownego remontu. Pełny ratunek dla kamienicy przyniosły dopiero rozległe prace zabezpieczające z lat 60. ub. wieku, podczas których na nowo obudowano jej podziemia, włączone obecnie do Podziemnego Przejścia Turystycznego.

Już w roku 1945 w budynku znalazło siedzibę Muzeum w Jarosławiu. Wielokrotnie zmieniano jego aranżację. Obecnie w pomieszczeniach zwanych sienią dolną znajduje się ekspozycja historyczna, na piętrze zaś zaaranżowano wnętrza mieszkalne. W sieni dolnej i w *sklepie* wyeksponowano m. in. portrety właścicieli miasta, wyroby miejscowego rzemiosła, miecze i okowy katowskie, obrazy i rzeźby przedstawiające świętych patronów miasta, portrety jarosławskich mieszczan, militaria oraz dawne widoki miasta. W najbardziej reprezentacyjnym wnętrzu, jakim jest wielka izba, zwraca uwagę piękne wyposażenie: włoskie meble renesansowe, szafy gdańskie, cenna gotycka rzeźba przedstawiająca Madonnę z Dzieciątkiem, a także XVII-wieczne obrazy mistrzów włoskich i flamandzkich. Na piętrze przedstawione są stylizowane wnętrza mieszczzańskie: salonik eklektyczny, jadalnia, salonik w stylu biedermeier, sala „z paskami” oraz pokój paniński.



**Kamienica Orsettich, ekspozycja w wielkiej izbie**

Piętrowa, podcieniowa kamienica Orsettich, wysunięta w głąb Rynku w stosunku do sąsiedniej zabudowy z wysoką, bogato dekorowaną attyką uznawana jest za jedną z najpiękniejszych renesansowych kamienic mieszczańskich w Polsce. Jej przedstawienie znalazło się w 2006 r. na jednej z trzydziestu dwóch monet 2-złotowych

upamiętniających miasta o istotnym znaczeniu w dziejach Polski.

Sąsiednią kamienicą pod numerem 5 jest tzw. kamienica Attavantich. I ta nazwa pochodzi od nazwiska jednego z jej właścicieli, włoskiego kupca Giulio Attavantiego. Pierwotnie budynek należał do Jana Dąbka i jego żony Anny. Attavanti nabył obiekt po wielkim pożarze z 26 sierpnia 1625 r. (...miasto w czasie jarmarku zgorzało, przez co kupcy tu bawiący stracili do 10 milionów złotych...) i przebudował odpowiednio do swoich potrzeb. W 1680 roku odremontował go kolejny właściciel, jarosławski kupiec i zarazem wójt Jan Melant, pochodzący z rodziny szkockich imigrantów. Po rozbiorach i zajęciu ratusza przez Austriaków kamienica została w 1796 r. zakupiona przez gminę miejską na siedzibę magistratu i sądu. W końcu XIX w. budynek został przebudowany, w wyniku czego m. in. uzyskał drugie piętro z tzw. Salą Lustrzaną, a na miejscu wiaty powstało odkryte podwórko. Już w XX w. mieściła się tu szkoła ludowa im. Stanisława Konarskiego i św. Kingi, a także założone przez wybitną pianistkę, Marię Turzańską, Towarzystwo Muzyczne im. Fryderyka Chopina.

Kamienica była remontowana w latach 2008-2009. Jest pierwszym obiektem na jarosławskiej starówce przystosowanym dla potrzeb osób niepełnosprawnych (posiada m. in. wewnętrzną windę) przy jednoczesnym zachowaniu zabytkowych walorów wewnątrz. Obecnie w budynku mieści się jarosławskie Centrum Kultury i Promocji. Dla turystów istotne jest to, że na parterze znajduje się Centrum Informacji Turystyczno-Kulturalnej, a na II piętrze galerie sztuki i wspomniana reprezentacyjna Sala Lustrzana z pięknym wystrojem sztukatorskim wnętrza będąca miejscem imprez kulturalnych i koncertów. W sieni obiektu znajduje się również wejście do Podziemnego Przejścia Turystycznego obejmującego również piwnice dwóch sąsiednich budynków.

Kolejna kamienica rynkowa, oznaczona numerem 6, nosi tradycyjnie nazwę kamienicy Gruszewiczów. Powstała na przełomie XVI i XVII w. Jej nazwa pochodzi od nazwiska właścicieli: Adriana Gruszewicza, cyrulika i aptekarza, ławnika i rajcy miejskiego oraz jego syna, Jana. Pierwotnie była budynkiem dwukondygnacyjnym z podcieniami, z szeroką sienią na osi, wiatą i wielką izbą. W XIX wieku została przebudowana i rozbudowana, ale w niezmiennym stanie zachowała się część wewnątrz oraz usytuowane pod nią trzy kondygnacje piwnic. Jej szczególną cechą jest system ganków i galerii obiegających wewnętrzny dziedziniec, a główną ozdobą – wspomniana wielka izba. Pomieszczenie nakryte jest sklepieniem z lunetami oraz posiada dekorację malarską z wizerunkami czterech ewangelistów, a także ozdobne sztukaterie. Zupełnie wyjątkowym dziełem jest w nim długi na 12 m ciąg ośmiu XVII-wiecznych malowideł ściennych o treści pasyjnej stanowiący rzadki przykład dekoracji sakralnej w prywatnym, świeckim pomieszczeniu.

W kamienicy Gruszewiczów, będącej własnością miasta, znajdują się m. in.: Galeria „Rynek 6” oraz księgarnia Miejskiego Ośrodka Kultury „Jarosławski Kuferek Artystyczny”. Swoją siedzibę ma tu Stowarzyszenie „Muzyka Dawna”, a także Jarosławskie Stowarzyszenie Przewodników Turystycznych i Pilotów Wycieczek oraz Miejskie Koło PTTK. Natomiast w wielkiej izbie mieści się Sala Ślubów.

*Mirosław J. Barański*



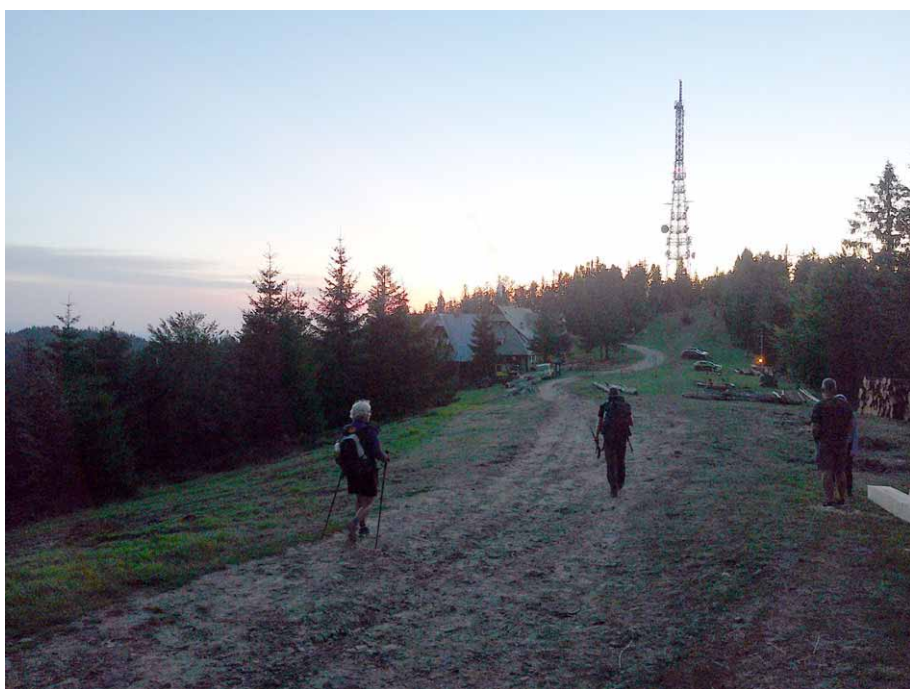
**Kamienica Attavantich, fragment fasady**



**Kamienica Gruszewiczów, sień**

## Nie tylko „Szpilki na Giewoncie”. Krótkie refleksje powakacyjne

**W**ątek pierwszy – **ruch turystyczny**. Tegoroczne lato przyniosło skokowy wzrost ruchu turystycznego w polskich górach, choć pewnie nie w każdej grupie górskiej. Tradycyjnie oblegane było Zakopane (choć to nie góry, a miasto) i okolice, duży ruch koncentrował się wokół miejscowości stanowiących duże ośrodki wypoczynku. Karpacz, Szklarska Poręba, Krynica-Zdrój i inne miejscowości nad Popradem. Krościenko, Szczawnica i wiele innych miast, i wsi śródgórskich odwiedziły setki tysięcy urlopowiczów i turystów. Również setki tysięcy poszły w góry, te niewysokie, średnie i te najwyższe. Ruch nie rozkładał się równomiernie w czasie, poza głównymi centrami turystycznymi prawdziwe tłumy przewalały się tak naprawdę tylko w weekendy i podczas kumulacji dni wolnych od pracy. Tak było choćby w połowie sierpnia od 15 do 17 tego miesiąca. Byłem w tych dniach w Gorcach. Jeszcze 14 sierpnia po górach kręciło się niewiele osób odwiedzających schroniska i wracających na kwatery w dolinach po zjedzeniu obiadu, a na nocleg w schroniskach zostawali nieliczni. Dość powiedzieć, że w Kolibie na Łapsowej byłem jedynym nocującym turystą. Na Turbacz poszedłem następnego dnia w ciemno bez rezerwacji noclegu, a był to pierwszy dzień tzw. długiego weekendu. Chciałem sprawdzić, czy moje dotychczasowe doświadczenia sprawdzą się także tym razem, czy bez problemu dostanę nocleg. Na szlaku przez Bukowinę Obidowską i Bukowinę Miejską spotkałem jednego rowerzystę i pieszych wycieczkowiczów w liczbie 6 osób łącznie, ani jednego turysty „plecakowego”. Już to wskazywało, że miejsce w pokoju się znajdzie. Był to dzień świąteczny, więc w okolicy kaplicy na Rusnakowej Polanie zgromadził się spory tłumek ludzi przybyłych na mszę świętą. Po mszy połowa udała się z powrotem w kierunku Nowego Targu, połowa w kierunku schroniska. Przed schroniskiem zaś kłębiło się na placu przed wejściem, w kawiarni i w jadalni. Gdzieś około godziny 17-tej nagle zrobiło się pustawo, ostatni świąteczni spacerowicze kończyli posiłek, wreszcie pod wieczór zostało w schronisku kilkadziesiąt osób na nocleg. I tu ciekawa obserwacja. Obecnych w schronisku można było podzielić na dwie grupy. Jedna to ekipy rodzinne zajmujące mniejsze pokoje, druga to dwójki lub „single” przemierzający góry od schroniska do schroniska. Spora część z tej drugiej grupy to turyści mierzący się z częściowym lub całościowym przejściem GSB. Tak, **przeście Głównego Szlaku Beskidzkiego stało się modne**. Poza nocującymi w schronisku sporo osób biwakowało na polu namiotowym. Naliczyłem około 10 namiotów. To także głównie turyści „dalekobieżni” oraz przybyli na Turbacz na kilka wolnych dni. Następny dzień przyniósł podobną sytuację – za dnia przewalający się bez przerw tłum wycieczkowiczów i noc z wolnymi miejscami noclegowymi. Przypuszczalnie wszędzie poza Tatrami sytuacja w schroniskach była podobna. To potwierdziło tylko, że **na kilkudniowy wyjazd w polskie góry warto wyruszać tak, aby pierwsza noc w schronisku wypadła z niedzieli na poniedziałek, po czym bez żadnych problemów z uzyskaniem noclegu wędrować cały tydzień**. Dodam jeszcze, że kilka dni wcześniej na Przehybie nocowało



**Przehyba. Ostatni turyści dochodzą na nocleg**

kilkanaście osób, a na Bereśniku, podobnie jak na Łapsowej, byłem jedynym nocującym „plecakowym”. To dobry sygnał dla turystów wędrujących „po staremu” od schroniska do schroniska, przypomnę, że było to w środku letniego sezonu, kiedy kilkudniowe prognozy pogody przewidywały piękną pogodę.

**Wątek drugi – bezpieczeństwo.** Z tym było coraz gorzej. Ilość wypadków i interwencji GOPR i TOPR przeraża. Nie pamiętam takiej sytuacji od czasu, kiedy śledzę informacje dotyczące wypadków i ratownictwa w polskich górach, czyli mniej więcej od 40 lat. Na początku lat 80-tych zacząłem przyglądać się rubrykom dotyczącym tych zagadnień w TATERNIKU i w WIERCHACH. Współcześnie, w dobie INTERNETU wieści rozchodzą się błyskawicznie i można być na bieżąco z tym, co dzieje się w górach. Główna przyczyna od lat jest ta sama – nieodpowiednie przygotowanie do przebywania w górach, że tak to ogólnie nazwę, w tym nieodpowiednia kondycja fizyczna, niewłaściwe obuwie, brak odpowiedniego wyposażenia (zwłaszcza zimą), brak znajomości stanu zdrowia (kilka zgonów na szlakach), brawura, brak znajomości terenu, brak umiejętności... W ciągu ostatnich lat doszły wypadki rowerowe i paralotniarskie, to znak czasów, ale przyczyny jak wyżej. A przy tym wszystkim wielu wydaje się, że komu jak komu, ale mi na pewno nic się nie stanie. Niedawno przez sieć przemknął filmik nakręcony gdzieś w Tatrach pokazujący młodą kobietę zmagającą się z kamienistym szlakiem w klapkach z futerkiem. Oczywiście gros komentarzy było „niekorzystnych” dla owej pani, ale były i takie: „*co was obchodzi, co ma na nogach, to jej sprawa, jeśli jej wygodnie*”. Ktoś inny kwestionował używanie tradycyjnych butów turystycznych powyżej kostki, twierdząc, że usztywnienie stawu skokowego sprzyja złamaniom podudzia. Inny argument kwestionujący używanie odpowiednich butów turystycznych to taki, że kiedyś chodziło się po górach w trampkach. Nie pamiętam owego „kiedyś”, ale jak sięgnę pamięcią do przełomu lat 60. i 70-tych to podstawowym **obuwem turysty górskiego były „pionierki”**, nie najgorsze skórzane buty z cholewką powyżej kostki i dobrze urzeźbioną podeszwą. Ponadto w Wałbrzychu produkowano „taterniki”, „zawraty” i „himalaje”, prawda, że słabo dostępne, ale były. W połowie lat 70-tych pojawiły się krośnieńskie „traperki” dostępne w pełnej rozmiarówce i, co dziś chyba nie jest praktykowane, w trzech tęgosciach A, B i C. To tak dla przypomnienia. Tymczasem: ***Ratownicy nieustannie apelują o ostrożność w górach. - W góry w żadnym wypadku nie wybieramy się np. w sandałach czy adidasach. Nieodpowiednie obuwie noszone przez turystów jest główną przyczyną urazów. (...) idąc w góry, należy założyć buty, które co najmniej usztywnią nam kostkę*** - Krzysztof Szczurek, naczelnik Grupy Bieszczadzkiej GOPR. Będąc w czerwcu na Babiej Górze, odbyłem kilka wycieczek w masywie i chcąc nie chcąc, widziałem w co obuci i jak ubrani bywają ludzie na górskich szlakach, na tych całkiem łatwych i tych trudniejszych. Nie miejsce tu na analizę i prezentację różnych rodzajów obuwia, ogólnie mówiąc, była to cała galeria od szmacianych pepegów i tramppek przez różne „trekingowe sandały” po tzw. markowe buty górskie.



**Z Bereśnika ku Tatrom**



**Namioty na Turbaczu**

Moją uwagę zwrócił na Przełęcz Brona pokaźnej postury mężczyzna wędrujący z dwoma synkami lat ok. 5 i 7 z Krowiarek z zamiarem wejścia jeszcze na Małą Babią, zejścia na Markowe Szczawiny i powrotu na parking na Krowiarkach. Co z tego, ktoś powie. Ano wydaje mi się, że dla 5 i 7 latka już przejście z Krowiarek przez Diablak, Markowe z powrotem na Krowiarki to wystarczający wysiłek i dokładanie wejścia na Małą Babią to wyłącznie realizacja ambicji ojca kosztem dzieci. Oczywiście mogę się mylić, nie takie trasy niektórzy rodzice fundują swoim dzieciom. Co do postury mężczyzny to zastanowiło mnie, co czuły jego stopy w zwykłych miejskich paskowych sandałach na cienkiej gładkiej podeszwie. Ale jak mówią, to jego stopy i jego problem.



### Dość typowe „obuwie turystyczne” na Perci Akademików

Co w tych kwestiach radzą ratownicy górscy? Przypomnę, bo to zdanie fachowców (w podsumowaniu jednego z sierpniowych weekendów). *Nie przeceniajmy naszej kondycji. Ludzie przeceniają własne możliwości, przyjeżdżają po 5-10 latach, gdy zmienia się ich organizm, wydajność serca, kondycja. Jeżeli ostatnio temperatura w Zakopanem sięgała aż 30 stopni Celsjusza, trzeba wtedy pamiętać o dużym zapasie wody, bo w górach pije się dużo więcej z powodu dużego wysiłku fizycznego. Trzeba mieć czapkę i krem z filtrem UV. A jeśli chcemy zdobyć Orlą Percę, trzeba być bardzo wcześnie na szlaku, nawet przed 7.00 rano. Bo potem tworzą się kolejki i wtedy trzeba wykazać się dużą cierpliwością. Nie warto nikogo poganiać, bo to nic nie zmieni, a nawet gdy będziemy chcieli obejść takie osoby uwieszane łańcuchów, możemy spowodować, że kamienie spadną na innych turystów. Na wielu szlakach trzeba obowiązkowo nosić na głowie kask, za często jest on przyczepiony do plecaka, gdy zdarzy się nieszczęście. Trzeba korzystać z tego, co mamy ze sobą, także z czekana, liny asekuracyjnej itp. Nie można kusić losu, gdy są zapowiedzi burz, bo wtedy możemy zostać porażeni piorunem (...)* To wszystko dla przypomnienia. Życzę tylu powrotów z gór, co wyjść, a ku przestrodze statystyka jednego weekendu. **Rekordowy weekend TOPR: 68 poszkodowanych i jeden wypadek śmiertelny na Orlej Perci.** To tyle, co kiedyś przez cały rok. Góry to nie tylko Tatry. Podczas wspomnianego weekendu ratownicy Grupy Beskidzkiej udzielili pomocy 41 osobom w 16 wypadkach. Wcale nie lepiej było w wakacje na terenie działania Grupy Karkonoskiej GOPR. W porównaniu z ubiegłym rokiem wzrosła zarówno liczba działań ratowniczych jak i liczba ratowanych osób. Pomoc otrzymało 250 poszkodowanych, podczas gdy rok wcześniej było ich 188, co oznacza **wzrost o 33%** - informują ratownicy Grupy Karkonoskiej GOPR. Jeśli chodzi o Tatry, to statystyka jest następująca (źródło TOPR). W okresie 22.06. - 31.08.2024 r. TOPR udzielił pomocy 507 osobom, w tym 72 w wieku szkolnym. W analogicznym okresie w 2023 r. TOPR pomagał 359 osobom, w tym 48 w wieku szkolnym. Niestety doszło do 5 wypadków śmiertelnych, o jeden więcej w porównaniu z zeszłym rokiem. Wakacje 2024 r. przyniosły **ponad 40% wzrost** liczby osób ratowanych w porównaniu z zeszłym rokiem! Nieco mniejszy wzrost liczby wypadków odnotowano na terenie działania Grupy Beskidzkiej, bo „zaledwie” **20%**. Ratownicy Grupy Beskidzkiej GOPR wyruszyli w góry 249 razy, by udzielić pomocy 284 osobom poszkodowanym. *Przeprowadziliśmy 188 akcji ratunkowych, 47 interwencji (najczęściej w stacjach ratunkowych) i 14 wypraw ratunkowo-poszukiwawczych. Przeważały wypadki turystyczne (136 osób ratowanych), doszło do 100 wypadków rowerowych, co stanowi 35% wszystkich zdarzeń. Udzielaliśmy również pomocy w 5 wypadkach, którym ulegli paralotniarze. W większości osoby poszkodowane doznały urazów w wyniku upadków (152 osoby) lub potrzebowały pomocy ratowników z powodu zachorowania (40 osób). Przyczyną zdarzeń były także: brak odpowiedniego wyposażenia (13 osób) oraz brak umiejętności (14 osób)* (źródło FB GB GOPR). Skokowy wzrost liczby wypadków to zapewne konsekwencja wzrostu ilości osób wychodzących w góry, z których wiele do takiej aktywności nie było odpowiednio przygotowanych, co potwierdzają informacje ratowników górskich. Weźmy to pod uwagę, wybierając się na górskie szlaki.

Juliusz Wyślouch

## Wybierz się na zakupy na zabytkowy Wielki Bazar, jedno z najstarszych centrów handlowych na świecie

**W**ielki Bazar, zaliczany do najważniejszych zabytków kultury Stambułu, ma ponad pięćsetletnią historię. W obiekcie, będącym jednym z najstarszych i największych bazarów na świecie, mieszczą się restauracje, kawiarnie oraz sklepy, co czyni go obowiązkowym punktem dla każdego odwiedzającego miasto. Sześć dni w tygodniu wita tysiące gości, którzy przybywają tu zarówno w interesach, jak i po to, by podziwiać warsztaty rzemieślników oraz kupować ręcznie robione, oryginalne i luksusowe produkty. Oferta Wielkiego Bazaru obejmuje biżuterię, tradycyjne płytki ceramiczne, jedwabne tkaniny oraz dywany.



### „Żywe skarby Wielkiego Bazaru”

Wielki Bazar został wzniesiony w 1461 roku z myślą o generowaniu dochodów dla meczetu Hagia Sophia. Usytuowany na Półwyspie Historycznym, pomiędzy dzielnicami Nuruosmaniye, Mercan i Beyazit, stanowił fundament dla prężnie rozwijającego się handlu w mieście. Kupcy przemierzający szlaki handlowe spotykali się na Wielkim Bazarze, aby wymieniać klejnoty, biżuterię, jedwabie i niezliczoną liczbę innych produktów z całego świata. Kompleks Wielkiego Bazaru obejmuje 22 bramy pokryte płaskimi i kopulastymi dachami. Nazwy ponad 60 uliczek w obrębie budowli pochodzą od wykonywanych tam rodzajów rzemiosła, takich jak złotnictwo, wytwórstwo fezów czy tkanie dywanów.



Ten ogromny kompleks o powierzchni 45 000 m<sup>2</sup> i 563-letniej historii stanowi żywe muzeum oraz jedno z najbardziej tętniących życiem i barwnych miejsc w Stambule. Mieszczący 3600 sklepów bazar jest otwarty od 08:30 do 19:30 latem i od 08:30 do 19:00 zimą. Prezentowane są tu różnorodne dzieła rzemieślnicze i produkty, w tym tekstylia, wyroby skórzane i dywany. Wielki Bazar odegrał też kluczową rolę w kształceniu rzemieślników i podtrzymywaniu wielowiekowej tradycji mistrz-uczeń, szczególnie w dziedzinie tworzenia biżuterii



oraz innych tureckich rękodzieł, takich jak wszelkiego rodzaju ozdoby i kaligrafia. Rzemieślnicy rozpoczęli tu swoją karierę jako praktykanci, z biegiem lat stawali się czeladnikami, aż w końcu kontynuowali swoje rzemiosło jako mistrzowie, nauczając dziesiątki uczniów. Rzemieślnicy ci uważani są za „żywe skarby Wielkiego Bazaru”.

**Idealna sceneria filmowa**  
Wielki Bazar wyróżnia się nie

tylko miejscowymi rzemieślnikami i rękodziełem sprzedawanym za jego bramami, ale także strukturą labiryntu tworzącą niemal miasto w mieście. Łatwo zgubić się na ogromnej przestrzeni pełnej korytarzy i przejść, ale równie łatwo zatrzymać się w sklepie, gdzie zgodnie ze zwyczajem sprzedawca poczęstuje cię filiżanką herbaty lub tureckiej kawy. Innym charakterystycznym elementem Wielkiego Bazaru



jest kultura targowania się – niepisana zasada mówi, że pierwsza podana cena jest zawsze do negocjacji!

Wielki Bazar, symbol Stambułu, często pojawia się w filmach i serialach telewizyjnych. W produkcji „Pozdrowienia z Rosji” z 1963 roku Sean Connery przechadza się po bazarze jako szarmancki, brytyjski agent James Bond, a w „Skyfall” z 2012 roku Daniel Craig, wcielający się w tę samą rolę, przemierza dach budynku na motocyklu. Wielki Bazar odwiedzili też Ben Affleck w filmie szpiegowskim „Argo” i Russell Crowe w „Źródle nadziei” z 2014 roku. Niedawno budowla stała się także sceną dla tegorocznego serialu „Za zasłoną”, thriller szpiegowskiego ze zdobywczynią nagrody Emmy, aktorką Elisabeth Moss.

### Odkrycia gastronomiczne

Wspaniałe Wielki Bazar słynie również z historycznych restauracji mieszczących się w tutejszych karczmach. Można tu skosztować tradycyjnych dań ze Stambułu lub wybrać się do kawiarni, cukierni i kafejek rozsianych między sklepami.

**Biuro prasowe Biura Radcy ds. Kultury i Informacji Ambasady Turcji w Polsce**  
Fot. TGA



---

## Białe Wybrzeże Swiatosława

Przyrodniczy Park Narodowy Białe Wybrzeże Swiatosława powstał w 2009 r. na terenach półwyspu Kinburnska Kosa, Limanu Dnieprowsko-Buskiego i Zatoki Jagorłyckiej na Morzu Czarnym. Obszar parku wynosi 352,2 km<sup>2</sup>, w tym 285,9 km<sup>2</sup> w stałym użytkowaniu przez park. W skład parku weszły rezerwat hydrologiczny Jezioro Słone i rezerwat krajobrazowy Kinburnska Kosa. Park znajduje się w granicach obwodu miłkołajowskiego, w rejonach oczakowskim i berezowskim. Poetycka nazwa parku pochodzi od białego piasku plaż, których tu mnóstwo (25 km) oraz od wojowniczego kniazia Swiatosława Chrobrego (panował w Rusi Kijowskiej 957-972, ojciec Włodzimierza Wielkiego), który na półwyspie zimował po wyprawie na południe.

W parku opisano 595 gatunków roślin naczyniowych, z nich 30 podlega szczególnej ochronie. Rośnie rzadka brzoza dnieprowska. Na półwyspie w okolicy wsi Pokrowka znajduje się pole dzikich storczyków, największe w Ukrainie (60 ha). Występuje 6 gatunków tych roślin, od 30 do 100 storczyków na każdym metrze kwadratowym pola.

Limany morskie i półwyspy to zaciszne miejsca na odpoczynek przelotnych ptaków. W jeziorach brodzą długonogie szczydłaki, latają nad nimi rybitwy rzeczne, pływają kaczki ohary. Latem można spotkać wielkie skupiska różowych pelikanów i kulików, a zimą – orla bielika. Jest ogromna kolonia czapli. Jeziora stały się

krainą bytowania dla 300 gatunków ptaków. Spośród gadów żyją tu rzadkie wąż sarmacki i żmija stepowa. W faunie naliczono 5 tys. gatunków zwierząt. Z ssaków są jelenie, dzikie konie, lisy pospolite i wilki. Był okres (2014-16), gdy wilków było tak dużo, że napadały na zwierzęta domowe. Na skutek skarg rolników podjęto wówczas decyzję o odstrzale części wilków. Sytuacja się poprawiła, zaprzestano ingerować w życie zwierząt. We wcześniej była jeszcze inna ingerencja człowieka w środowisko, a mianowicie zbudowano na półwyspie kanał (2012), co doprowadziło do powiększenia powierzchni jezior o 300 ha i poprawienia warunków do rozmnażania ryb słodkowodnych (karpie, karsie). Administracja parku zamknęła barierami dostęp dla samochodów do terenów chronionych, co zmniejszyło nielegalny odłów ryb.

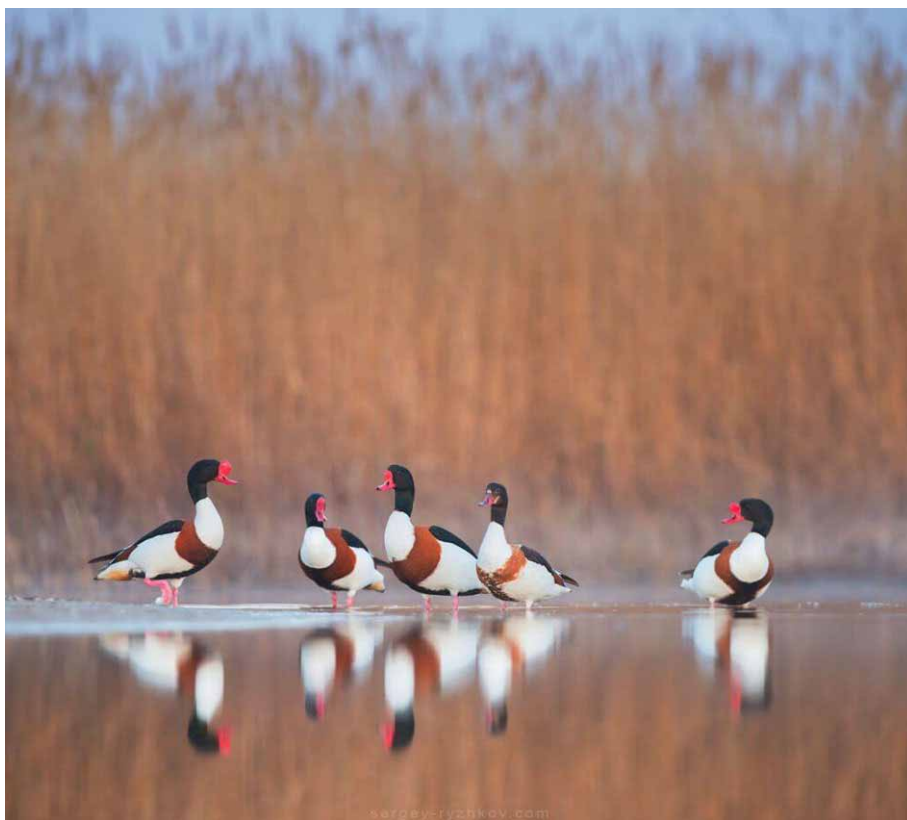
Prowadzono tu wykopaliska. Odkryto pozostałości osad z epoki brązu i czasów antycznych. W okresie Zaporoskiej Siczy obok jezior prowadziły szlaki Kozaków, obchodzących tureckie twierdze Kinburn i Oczaków. Sól ze słonych jezior Kozacy czółnami rozwozili po Ukrainie, sprzedawali ją nawet do krajów europejskich. Z terenem wiążą się legendy: o Achillesie i jego świątyni, o scytyjskich skarbach, o osmańskiej fortecy i o dzielnych Kozakach.

W parku wytyczono 3 ścieżki ekologiczne i 7 szlaków dla turystów pieszych, konnych i wodnych (łącznie 120 km). Dyrekcja parku znajduje się w Oczakowie.

W 2022 r. park był pod władaniem wojsk rosyjskich. Z półwyspu ostrzeliwano Oczaków. W pożarach spłonęła część lasów.

*Janusz Fuksa*

**Morze Czarne, fot. Anastasija Milewska**



**Kaczki ohary, fot. S. Ryżkow**



**NA SZLAKU**

[www.na-szlaku.net](http://www.na-szlaku.net)

**Polub nas  
na Facebooku!**

# XXV Jubileuszowe Spotkanie Śladowe „Na Szlaku”

## Schronisko na Turbaczu 1 – 5 marca 2025

### Informacje dla uczestników

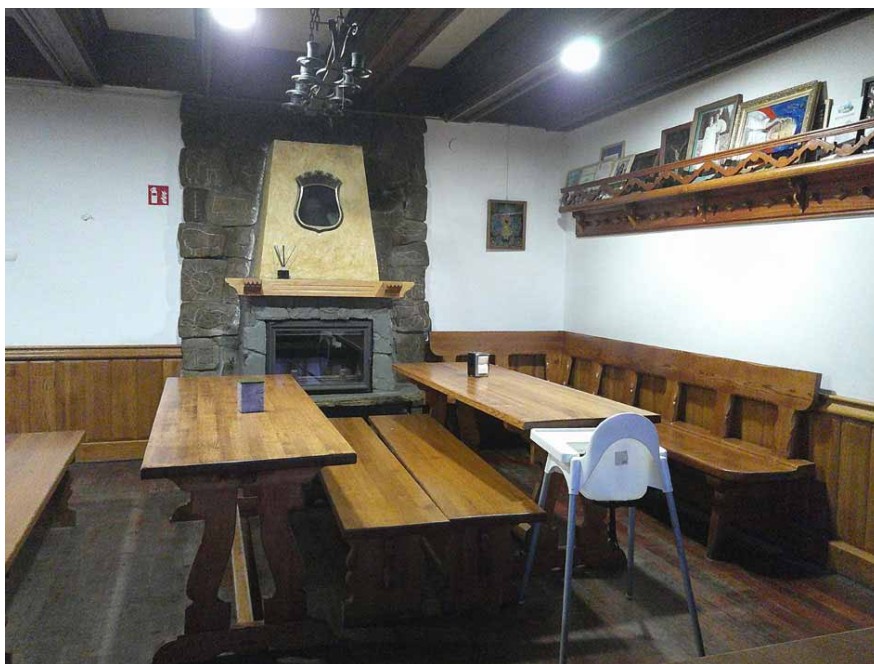
XXV Spotkanie Śladowe odbędzie się w dniach 1 (sobota) – 5 (środa) marca 2025 roku w schronisku na Turbaczu w Gorcach, czyli tam, gdzie zaczęła się historia naszych spotkań (I-2020, II i X). Powyższy termin wydaje się najbardziej korzystny, jest to tuż po zakończeniu szkolnych ferii zimowych. Myślę, że wysokość bazy gwarantuje śnieg, przynajmniej na grzbietach i w zaciętych dolinach. Jak wiemy, pod Turbaczem między Rozdzielem a Obidową funkcjonuje narciarska „Trasa Śladami Olimpijczyków”, z której z pewnością będziemy mogli skorzystać. Są dwa utrzymywane warianty przez dolinę Lepietnicy – 8 i 11 km. Możliwa jest także trasa przez dolinę Obidowca. Zakładam trzy pełne dni wycieczkowe (2, 3 i 4 marca), w tym powtórzenie trasy z pierwszego spotkania przez Jaworzynę Kamienicką i drogę stokową do Doliny Kamienicy, doliną na Przełęcz Borek, skąd podejście do schroniska.

Dojazd samochodem na parking pod wyciągami w Kowańcu (lub nieco dalej) lub do Obidowej na parking pod Trasą Śladami Olimpijczyków. Stąd Trasą Olimpijczyków na Turbaczu. Tamże dojazd komunikacją miejską z Nowego Targu: do Kowańca linie 2, 3, 4, do Obidowej linia 3 (pętla, Polanki, wypożyczalnia nart, początek Trasy Olimpijczyków). Linie te przejeżdżają przez Rynek. Jeśli będzie czynny, można skorzystać z wyciągu w Koninkach na Tobałów i dojść górami przez Suchorę i Obidowiec. **Rezerwację noclegów uczestnicy wykonują indywidualnie w zależności od potrzeb w zakresie komfortu (małe pokoje lub sale zbiorowe) i możliwości finansowych.** Można zabrać psa. Miejscem wieczornych spotkań i „odpraw” porannych będzie sala kominkowa. Wyżywienie według potrzeb z karty restauracji lub z zasobów własnych uczestnika – kuchnia turystyczna do dyspozycji. **Nocleg w pokoju ośmioosobowym kosztuje 100 zł (w tym pościel!), w pokojach 10, 12 i 15 osobowych 90 zł (w tym pościel).** Informacja o mniejszych pokojach na stronie internetowej schroniska. Udzielane są wszystkie regulaminowe zniżki PTTK. Kontakt do schroniska tel.: 602 118-889, 666 726 893, 18 266 77 80. Główna strona internetowa schroniska: <https://turbacz.net/>. **Możliwy jest dowóz bagażu z dołu,** należy kontaktować się ze schroniskowym kierowcą, panem Romanem tel.: 888 069 348, ustalić miejsce odbioru bagażu i warunki finansowe usługi. W schronisku na Turbaczu można płacić kartą, na Maciejowej, Starych Wierchach i na Łapsowej płaci się gotówką.

*Juliusz Wysłouch*



**Schronisko na Turbaczu**



**Sala kominkowa**

## 30. spacer historyczno-krajoznawczy – otwarcie Skweru PTTK “Sudety Zachodnie”

**W** środę 28 sierpnia 2024 roku zaprosiłem uczestników na jubileuszowy 30. spacer historyczno-krajoznawczy zorganizowany przez Muzeum Karkonoskie i Regionalną Pracownię Krajoznawczą Karkonoszy działającą przy Oddziale PTTK “Sudety Zachodnie”.

Tym razem spotkanie przebiegało w wyjątkowej atmosferze, gdyż było połączone z uroczystością wręczenia dyplomów i wyróżnień najaktywniejszym działaczom kadry programowej naszego towarzystwa. Oprócz tego była to także okazja do wręczenia odznak najaktywniejszym kolekcjonerom prezentującym swoje wyjątkowe zbiory na licznych wystawach.

Podczas spotkania w Muzeum Karkonoskim Andrzej Mateusiak przedstawił nową prelekcję, w której przybliżył sylwetki osób mających wpływ na przebieg działalności turystycznej prowadzonej przez nasz oddział PTTK skierowanej do mieszkańców Jeleniej Góry. To właśnie dzięki tym wybitnym jednostkom turystyka i krajoznawstwo rozkwitało. To dzięki nim tworzone były zręby naszej organizacji i w końcu to dzięki ich pomysłom i pracy zaczęto organizować wiele spotkań, imprez i przedsięwzięć, które w wielu przypadkach zapisały się na stałe w historii Jeleniej Góry.

Ponieważ w niemal 80-letniej historii ruchu turystycznego w Jeleniej Górze po 1945 roku działacze takich pojawiło się bardzo dużo, a co za tym idzie, ich działalność także była ogromna, Andrzej Mateusiak podzielił swój wykład na trzy okresy. Tym razem zaprezentował część pierwszą obejmującą lata 1945-1950. To wtedy działały: Dolnośląskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze (1945-1946), Dolnośląski Oddział Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego (1946-1950) oraz Oddział Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego (1947-1950). Jak wiadomo Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze w swojej obecnej formie powstało podczas zjazdu zjednoczeniowego w roku 1950.



Wśród osób działających w tym czasie byli: Jadwiga Borkowska, Henryk i Tadeusz Budzyniowie, Juliusz Haitlinger, Stanisław Jakubik, Stanisław Kaszycki, Halina Litwinowa, Helena Pudlikowa, Stanisław Rudolf, Józef Sołtan, Jadwiga Variella, Adolf Woronicz, Marian Zubek. To właśnie te osoby były założycielami Dolnośląskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego.

Jednym z najbardziej rozpoznawalnych działaczy naszego

towarzystwa był wybrany na pierwszego prezesa Dolnośląskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego Wojciech Tabaka, który w tamtym czasie pełnił także funkcję starosty jeleniogórskiego.

Na drugą część spotkania poprowadziłem chętnych do odbycia spaceru pod siedzibę oddziału PTTK. Tam po dotarciu pozostałych gości oraz przedstawiciele władz miasta i innych instytucji współpracujących z naszym towarzystwem rozpocząłem uroczystość otwarcia Skweru PTTK „Sudety Zachodnie”.



Symbolicznego otwarcia dokonali: prezydent miasta Jelenia Góra pan Jerzy Łuzniak, przewodniczący Rady Miasta Jeleniej Góry pan Wojciech Chadży, reprezentujący ZG PTTK kolega Jacek Potocki oraz wiceprezes oddziału PTTK Andrzej Mateusiak i prezes Krzysztof Tęcza.

Dla nas, członków Oddziału PTTK „Sudety Zachodnie” było to niewątpliwie najważniejsze wydarzenie w niemal 80-letniej działalności. Myślę jednak, że fakt symbolicznego przekazania nam „kawałka” Jeleniej Góry jest ważny także dla samego miasta oraz jego mieszkańców. Bo to właśnie oni od początku naszej działalności korzystają z naszej społecznej pracy. Podkreślam to - społecznej pracy. Nie mniej ważnym jest fakt przygotowania przedstawicielei naszej kadry programowej potwierdzonej posiadaniem przez nich odpowiednich certyfikatów i uprawnień. Poza tym, co jest niezwykle, nasi działacze wkładają w swoją pracę całe serce, powodując, że organizowane przez nasz oddział PTTK imprezy są nie tylko bezpieczne, ale wnoszą dużą dawkę wiedzy o naszym regionie, jego historii, przyrodzie czy zabytkach. Powoduje to, że na nasze imprezy przychodzi wciąż bardzo dużo turystów. Przychodzą wielopokoleniowe rodziny. W naszych imprezach uczestniczy duża grupa seniorów, dzięki czemu nie ma wśród nich uczucia wykluczenia społecznego.

Dodam tylko, że na dzisiaj prowadzony przez mnie Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” oprócz okazjonalnych spotkań organizuje imprezy cykliczne. Między innymi Rajd na Raty (już od 56 lat) czy Ogólnopolski Rajd Narciarski Karkonosze (od 66 lat).

Najważniejsza w naszej społecznej działalności jest świadomość uczestników naszych imprez o tym, że są z nami bezpieczni, że dowiedzą się czegoś nowego o swoim regionie i że spędzą czas wśród osób chcących wciąż być aktywnymi, wśród ludzi, którzy poprzez uprawianie turystyki dobrze się czują, poprawiają swoją kondycję fizyczną i - co najważniejsze - poprzez uśmiech na twarzy zarażają dobrym samopoczuciem innych.

Nie bez znaczenia jest także fakt działania w strukturach naszego oddziału PTTK Koła Przewodników Sudeckich, którzy często wspierają nas w naszych działaniach.

Kończąc relację z tego ważnego wydarzenia, dziękuję wszystkim, którzy przybyli na skwer, by zmanifestować swoje poparcie dla naszych działań. W końcu to co robimy, robimy dla Was, drodzy turyści.

Dziękuję za przybycie działaczom naszego towarzystwa. To dzięki Waszej pracy osiągnęliśmy tak wiele jako PTTK. Dziękuję za przybycie osobom reprezentującym instytucje i stowarzyszenia, z którymi współpracujemy. Na uroczystość przybyli m.in.: wicestarosta Powiatu Karkonoskiego pan Mirosław Górecki, dyrektor Dolnośląskiego Zespołu Parków Krajobrazowych Oddział w Jeleniej Górze pani Agnieszka Łętkowska, wicedyrektor Muzeum Karkonoskiego pani Aneta Sikora, prezes Spółki Sudeckie Hotele i Schroniska kol. Grzegorz Błaszczuk.



Niezwykłym gościem był nestor jeleniogórskiej turystyki kol. Zdzisław Gasz Członek Honorowy PTTK.

Dziękuję także pracownikom Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej, którzy doprowadzili to miejsce do porządku. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem tego, jak zmienił się wygląd skweru.

Dla rzetelności przytoczę częściowo treść dokumentu, dzięki któremu mogliśmy spotkać się na tak doniosłej uroczystości.

Uchwała nr 672.LXIX.2023 Rady Miejskiej Jeleniej Góry z dnia 6 września 2023 r. w sprawie nadania nazwy skwerowi.

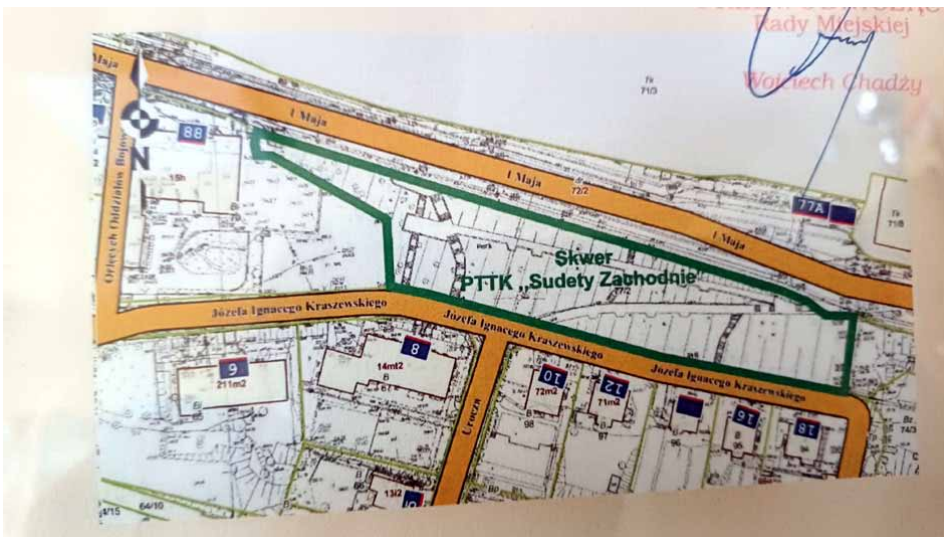
*Na podstawie art.1 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (Dz. U. z 2023 r. poz. 40 z późn. zm.) uchwała się, co następuje:*

*1. Nadaje się nazwę - Skwer PTTK „Sudety Zachodnie” skwerowi zlokalizowanemu na działce ewidencyjnej nr 77/2, AM-2, obręb 0024-24, stanowiącej własność Gminy Jelenia Góra.*

*2. Wykonanie uchwały powierza się Prezydentowi Miasta Jeleniej Góry.*

*Podpisano Przewodniczący Rady Miejskiej Wojciech Chadży.*

**Krzysztof Tęcza**



# Wiadomości o Dolnym Śląsku z 1947 r. (40)

(Z dzieła Józefa Sykulskiego „366 wiadomości o Dolnym Śląsku – kalendarz i notatnik na rok 1948”)

Pod datą 8, 17 października:

## **Nowa Sól i jej przemysł**

Nowa Sól leży na miejscu, które było zamieszkałe jeszcze w czasach przedhistorycznych, o czym świadczą miejscowe wykopaliska. W czasach nowszych było to osiedle warzelników soli, dostarczających jej szerokim połaciom kraju. Sól tę warzyli oni z wody morskiej, sprowadzali ją z wybrzeży hiszpańskich i francuskich. Choć stara to osada, prawa miejskie uzyskała dopiero 8 października 1545 r. Obecnie miasto należy do pow. kożuchowskiego, mieszka w nim 12 000 ludności.

Nowa Sól posiada trzy duże zakłady przemysłowe: fabrykę nici, przeróbki szczeciny i odlewnię. Fabryka nici jest zakładem nr 4, należącym do Państwowego Zjednoczenia Przemysłu Lniarskiego. Zatrudnia ona przeszło 2000 pracowników, pracuje w niej 20 000 wrzecion, dających dziennie 100 000 szpilek nici. Zakład mechanicznej przeróbki szczeciny jest największym tego rodzaju zakładem w Europie. Otwarto go po gruntownym remoncie już w październiku 1947 r., choć planowano tę uroczystość dopiero na styczeń 1948 roku! Zdolność produkcyjna tego zakładu wynosi do 250 ton miesięcznie. W ten sposób razem z takim samym zakładem w Bytomiu Odrzańskim Polska, obok Chin, będzie posiadać największe na świecie mechaniczne zakłady przeróbki szczeciny. Trzeci zakład przemysłowy w Nowej Soli to odlewnia. Została ona uruchomiona w grudniu 1945 r. [...]. Odlewnia ta produkuje włązy i rury kanalizacyjne oraz tak zwane tubingi, żelazne konstrukcje, podtrzymujące sklepienia w tunelach. Wysyła je do Danii i Szwecji. W 1948 r. odlewnia nowosolska wyprodukuje 6000 ton tubingów oraz najmniej 2000 ton włązów i rur kanalizacyjnych.

W muzeum nowosolskim, w którym widnieje trafny napis „Nie tylko język, ale kultura i sztuka są najsilniejszym spoidłem narodu”, znajdują się zbiory motyli, ptaków, zwierząt, rogów, skorup żółwi i ślimaków, wyroby z cyny, żelaza i drzewa, stara broń, zegar z drewnianymi częściami, prototyp roweru, tryptyk z XV w., miejscowa sztuka ludowa oraz książki o polskości ziemi nowosolskiej.

Pod datą 9 października:

## **Pierwszy polski druk ukazał się na Dolnym Śląsku**

We Wrocławiu drukarnie były czynne już w XIV w., znamy nawet nazwiska pierwszych drukarzy: w 1369 r. Bertramus de Ylenburg, mereator librorum [*zastużony dla księżek - JF*], w 1394 r. Johannes, pater librorum [*ojciec księżek - JF*] i w 1400 r. Maternus, renditor librorum [*hołdujący księżkom - JF*]. Najbardziej nas jednak obchodzi nazwisko drukarza wrocławskiego Kaspra Eliana, z jego to bowiem drukarni wyszły 9 października 1475 r. „Statuty synodalne biskupa wrocławskiego Konrada (Oleśnickiego)”. „Statuty” te ukazały się w języku łacińskim, zamieszczony w nich jest jednak pierwszy polski druk, którym jest Modlitwa Pańska. Przypatrzmy się polskiemu językowi i polskiej pisowni z tych czasów:

„Otcze nass genz gsi nanyebesach osweentcze gmye twe budz twa wuola, yako na nebi tako nazemy. Chleb nass wssedny dady nam dissa, odpuszcz nam nasse wynny yako my odpusstiame nassim wynowatczom. Ee newodyz nas napokuschenya ale zbaw nas od zleho. Amen”.

Rzecz znamienna, że niemieckie dzieła o pierwszych drukach śląskich nie podają ważnego dla Polaków faktu, iż w „Statutach” znajduje się polski tekst.

Pod datą 31 października:

## **Niemcy z Kłodzka zamordowali polskiego pielgrzyma**

Działo się to w 1604 roku. W dniu 31 października t. r. przybyli w drodze powrotnej z Rzymu dwaj polscy pielgrzymi: Albert Łaski i Adam Markowski. Byli ubrani dziwacznie, na głowach nosili korony z róż. Weszli do kościoła na modlitwę, lecz zorientowawszy się szybko w czasie odprawianego tam nabożeństwa, że to nie katolicki kościół, wyszli z niego. Za nimi wyszło też wielu ewangelików, do których wnet dołączyły się tłumy niemieckich mieszczan Kłodzka. Zaczęto naśmiewać się z pielgrzymów, nazwano ich papieskimi łotrami, a wreszcie tłum począł ciskać w nich kamieniami. Gdy pielgrzymi uciekali, tłum gonił ich, kamienie padały coraz większe i coraz częściej. Łaski uciekł, a Markowski został ukamienowany przez przeszło trzystu ludzi. Magistrat Kłodzka potępił czyn Niemców i pochował uroczyście zwłoki Markowskiego w znajdującym się wówczas tumie na górze Zamkowej, a gdy tum zburzono doszczętnie w 1620 r., zwłoki męczennika polskiego przeniesiono do obecnego kościoła parafialnego, gdzie do dziś spoczywają.

*Józef Sykulski*  
*Wybrał: Janusz Fuksa*

## Krzysztof Łopaciński (1945-2023) – kim był, czym się zasłużył

Miął rok. Krzysztof, coraz słabszy, fizycznie jeszcze był, ale wkrótce przestał być z nami w planowaniu wędrowania i w samym wędrowaniu. Ale to odejście oznacza zarazem, że został w naszej pamięci. Wyrazem tego jest wydana w niespełna rok po Jego odejściu na zawsze księga pamiątkowa złożona ze wspomnień bliższych i dalszych przyjaciół, kolegów turystycznych i krajoznawczych współwędrujących po Polsce i często bardzo daleko od Wisły, Odry, Dunajca, Bugu, Pilicy, Sanu i... Błędzianki.

To rzadkość w życiu towarzyskim wielu kręgów, aby upamiętnić jednego spośród wielu tomem wspomnień, zawsze bardzo osobistych i życzliwych Jego osobie, dokonaniom i jakże ulotnej i zawodnej pamięci. W tomie wspomnień napisałem: „Wspominanie bliskiego człowieka od słowa „był” to

bardzo trudne zadanie, jakie wyznaczili mi pozostali wśród licznych przyjaciół Krzysztofa J. Łopacińskiego (1945-2023). Nasz warszawski Uniwersytecki Klub Turystyczny „Unikat” w ciągu ponad sześćdziesięciu lat istnienia miał w swoim gronie co najmniej kilkunastu godnych zapamiętania Krzysztofów, Krzyżków, Krzychów. Nieliczni z nich są w naszej zbiorowej i osobistej pamięci zapisani od dawna i jestem przekonany, że na długo. Człowiek związany całym sercem z turystyką studencką i piosenką rajdową”. Pozostają wspomnienia i przekonanie, że będziemy tam wracać w snach i myślami na jawie, jak by to było razem z Nim...

Początki turystyki studenckiej, czyli akademickiej, wypada liczyć od momentu, gdy po Tatrach bez znakowanych szlaków wędrowało kilkuset słuchaczy Uniwersytetu Wakacyjnego Towarzystwa Wyższych Kursów Wakacyjnych w Zakopanem. Urodziny studenckiej turystyki datuje się od 29 kwietnia 1906 roku we Lwowie, gdy kółko zamieniło się samorzutnie w Akademicki Klub Turystyczny – drugą tego typu organizację po Towarzystwie Tatrzańskim w ówczesnej Galicji pod zaborem austriackim. Przewodził jej Mieczysław Orłowicz, absolwent prawa, po części także ekonomista i historyk sztuki. Człowiek pełen energii i młodzieńczego zapału nie zdawał sobie sprawy z tego, że otwiera nowy rozdział polskiej kultury, współczesnego, ale wzorowanego na dawnych kanonach, krajoznawstwa i mało komu znanej turystyki.

O początkach turystyki studenckiej w Warszawie po II wojnie światowej można mówić, pamiętając o istnieniu w 1949 roku na Uniwersytecie Warszawskim koła Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Trwało krótko, do powstania w 1950 roku Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, ale ta organizacja do lat 1954-1956 nie zyskała znaczącej popularności w naszym środowisku. W Warszawie Oddział Międzyuczelniany (Studencki) PTTK powstał 19 stycznia 1960 roku. Po latach było nas coraz więcej, aż do powstania Uniwersyteckiego Klubu Turystycznego „Unikat” w 1964 roku, na długo przed Łopacińskim i Kołem PTTK nr 2, które powstało pod koniec 1959 roku przy Uniwersytecie Warszawskim

Klub „Unikat” – co znaczy, że jest „unikalny krajoznawczy and turystyczny”, robił wiele rzeczy i spotkań na szlakach wędrówek po kraju w sposób osobliwy, unikalny, nieschematyczny, oryginalny, popularny, nieprzeciętny, opisywany i praktykowany jako „turystyka twórcza”. Uprawiane w „Unikacie” krajoznawstwo ze swej istoty odkrywcze jak za dawnych lat, gdy nasi poprzednicy zaczynali to wielkie dzieło w polskiej kulturze „z Kolbergiem po kraju”, śladami Staszica, Chałubińskiego, Glogera, Janowskiego, Kulwiecia, Chętnika, Orłowicza i jego



**Dr Krzysztof Łopaciński (1945-2023)**

Akademickiego Klubu Turystycznego. A my „z tego samego korzenia i pnia” już teraz bez Krzysztofa, wiele lat potem drepczemy nieświadomie, ale tymi starymi ścieżkami, bezdrożami i znakowanymi szlakami krajoznawczymi. Tam „gdzie nas jeszcze nie było – tam będziemy! Zawitamy, pokonamy, zdobędziemy. Czy jesienią, czy też latem, wiosną, zimą z „Unikatem...” – jak powtarzamy w hymnie klubowym.

Moja pamięć, jak każda inna, jest zawodna, niedokładna i pełna dziur jak przysłowiowy szwajcarski ser. Jednak pomnę, że Krzysztof pojawił się w „Unikacie” bez szumnego wejścia i rozgłosu o utalentowanym działaczu. Po prostu jak w starożytności „przyszedł – zobaczył – i zwyciężył”. Znajomość z naszym klubem zaczął typowo, jako uczestnik jakiejś „impreszki” podjął się organizowania kolejnej, rajdu czy zjazdu, wycieczki czy kursu. Na pewno połknął i wzbogacił „unikatowy styl”, czyli jak wielu z nas był zauroczony walorami naturalnymi i tradycjami krajoznawczymi Suwalszczyzny. Jej dawne i współczesne dzieje przyswajaliśmy wiele lat.

W „Unikacie” Krzysztof zajął się szkoleniem organizatorów turystyki, ale nie takiej w ławkach, przy tablicy z kredą czy nawet z mapą. Takie pomoce naukowe kursanci często mieli już własne i nosili ze sobą. Szkolenie pod jego dyktando to była „praca w terenie”, a najbardziej twórcze sylwetki organizatorów kształtował w działaniu i obciążał je samodzielnym staraniem, aby „impreszka” robiona najczęściej samodzielnie, w stylu typowym dla „Unikatu”, była szkołą umiejętności i skutecznego przebiegu spotkań w terenie, na zamku, na szlaku gdzieś w kraju. Było mnóstwo tych imprez i „impreszek”, bliżej lub dalej od Warszawy, ale najczęściej na Suwalszczyźnie, Mazowszu, Podlasiu, Kurpiach, Polesiu.

Miejsce spotkania w Starym Folwarku nad Wigrami jest uświęcone swoistą krajoznawczą i turystyczną tradycją i ma swoją niezwykłą historię. Wzgórze nad jeziorem zagospodarowało Polskie Towarzystwo Krajoznawcze na początku minionego XX stulecia, wtedy jeszcze było całkiem bez drzew czy krzewów. Okolice często odwiedzane przez wędrujących po Suwalszczyźnie doczekały się wybudowania na tej górcie morenowej schroniska czy też nawet domu turysty. Stało się to w latach 1927-1929, a o trwałości inwestycji świadczy to, że to schronisko – a raczej teraz jego totalna ruina – istnieje do dzisiaj. Wielka szkoda, że współczesny Oddział PTTK w Suwałkach ani nie ma funduszy, ani zdolności organizacyjnej aby o starą budowlę zadbać. Nawet jest – podobno – wpisana do gminnego rejestru zabytków. Ale to za mało, aby „ocalała od zapomnienia” i nie padła ofiarą obojętności, niegospodarności i szczyła w stanie zapomnienia, choć jest na węzłowym szlaku suwalskiego krajoznawstwa, od 1989 roku pod patronatem Wigierskiego Parku Narodowego.

I właśnie pod tym starym schroniskiem na trawniku co roku rajdowe bractwo w maju przez wiele lat układało się, żeby odpocząć utrudzone wędrowną. Kolejny Rajd nad Wigrami miał się niebawem zakończyć. Przypominają o tym dawne fotografie, m.in. oszklona weranda zabytkowego budynku była ozdobiona wieloma amatorskimi plakatami informującymi o rajdzie oraz o programie jego zakończenia na stoku wzgórza i obok w budynkach dawnego murowanego schroniska PTTK nad Wigrami. Na polanie pod wzgórzem miało zapłonąć tradycyjne ognisko kończące imprezę. Bodajże 450-550 uczestników skupiło się w tradycyjnym kręgu i niebawem rozległy się gitary i zbiorowy śpiew.

I wtedy jakoś całkiem przypadkiem obok zaczynającego płonąć ogniska pojawił się właśnie Krzysiek. Od ruchowo poprosiłem go o pomoc, aby zasiłił moje ograniczone możliwości panowania nad sytuacją przy ognisku i wzmocnił mój głos prowadzącego swoim. A warto wspomnieć, że wtedy nie używało się tzw. nagłośnienia, czyli wsparcia mechanicznego za pomocą ręcznych megafonów czy choćby strażackiego bekadła. Niestety, nie pamiętam daty ani numeru kolejnego naszego koronnego spotkania na szlakach Suwalszczyzny, czyli Rajdu nad Wigrami. Tu wspominam typowe spotkanie gwiazdźście zbiegających się tras na zakończenie naszej koronnej imprezy w Starym Folwarku. I skuteczna pomoc w mojej roli. Krzyśka pomoc wspominam od dawna z wdzięcznością i podziękowaniem.

Minęło wiele lat poświęconych rodzinie i innym „ważniejszym” zajęciom. Nie odwiedzałem Starego Folwarku ani nie prowadziłem żadnej trasy po Suwalszczyźnie. Wiem, że Krzysztof zajął się nie tylko szkoleniem, ale prowadzeniem jednej z kilkadziesiąt almaturowskich wakacyjnych baz namiotowych w Stańczykach pod słynnymi zabytkowymi mostami / wiaduktami kolejowymi z lat 1917-1918, nad niewielką rzeczką Błędzianką. Żałuję, ale Krzysztofa ani jego turystycznego gospodarstwa w bazie „Pod Mostem” nie odwiedziłem. To był nieokreślony wyraźnie kolejny znak, że nasze wspólne drogi jakimś zrządzeniem losu ze swej istoty nie były jednak równoległe. Unikatywne, klubowe, krajoznawcze i turystyczne w jednym nie stykały się i nie krzyżowały przez długie lata. Jego prace i robotki znałem tylko z opowiadań uczestników, ze słów uznania, jakimi te roboty się cieszyły z powodu ich oryginalności daleko od „Unikatu».

Krzyśka uwagę zajęło przez wiele lat mozolne gromadzenie informacji o autorach tekstów, tworzenie i muzyka piosenek turystycznych oraz ich popularyzowanie. Skrupulatnie kompletował informacje sprzed wielu lat i całkiem niedawne wydarzenia znane jako festiwale, giełdy, koncerty i zwyczajne „śpiewanki”, oficjalne, szumne, z licznymi autorami, wykonawcami i publicznością. To były dziesiątki znanych i dużych, z publicznością, i kameralnych spotkań i przeglądów piosenki turystycznej w wielu ośrodkach studenckich. To ważne osobne dzieło i osiągnięcie Krzysztofa nie tylko organizatorskie, ale przede wszystkim pisarskie. Zapisał się w niezwykłej roli, jednego z nielicznych, ale bodajże najważniejszych, kronikarza twórczości i popularyzatora studenckiej piosenki rajdowej / turystycznej.

To Jemu zawdzięczamy opracowanie, opisanie i opublikowanie kolejnych kilkudziesięciu tomów serii wydawnictw Fundacji Ogólnopolskiej Komisji Historycznej Ruchu Studenckiego – Zespołu Historii Turystyki Studenckiej. Wśród nich jest opublikowane pięciotomowe opracowanie dokumentalne Krzysztofa „Piosenka turystyczna». Utrwalił autorów, kompozytorów melodii, miejsca prezentacji i wykonawców piosenek, którzy „rozsławiali nas nie tylko na szlakach wędrówek po kraju.» A jest to obszerny rozdział w tradycjach polskiego piosenkarstwa, który stworzył znaczący dział popularnej kultury muzycznej dla „poprawy samopoczucia, gdy jest pieśń na ustach.»

Orłowicz był pierwszym przewodnikiem studenckiej turystyki w Tatrach i Pieninach, przywódcą programowych wycieczek po bezdrożach i wtedy jeszcze nieoznakowanych szlakach tatrzańskich. Po latach wypada dodać – „znakował i opisywał dla nas pierwsze szlaki». Trudno nie skojarzyć działań „Unikatu» ze stylem jaki tworzył w AKT Orłowicz. My wszyscy jesteśmy „co nieco z Orłowicza», pomimo upływu czasu i zmian w warunkach uprawiania turystyki. Krzysztof analizował zachowane pod lwowskim AKT sprawozdania, zamierzał opublikować wyniki swoich badań nad metodyką prowadzenia wycieczek i dalekich wypraw przez Orłowicza i innych przewodników z AKT, przypomnieć pionierskie formy i przebieg wędrówek studenckich sprzed ponad 150 lat po Polsce i Europie. Niestety, tego zamiaru przekazania nam zapomnianych i nieznanych doświadczeń krajoznawczych i turystycznych pionierów polskiej turystyki studenckiej nie zdążył spełnić...

Z udziałem Krzysztofa powstawały z wykorzystaniem dorobku ideowego i filozoficznego starego lwowskiego AKT, pomnażane przez „Unikat» naukowe opracowania, analizy i ekspertyzy na temat krajowego rynku turystycznego, przyjazdowego i wyjazdowego ruchu turystycznego, regionalnych programów rozwoju turystyki i inwestycji turystycznych dla różnych podmiotów gospodarczych, a także dla instytucji krajowych i zagranicznych. Polski. Niezależny, społeczny, studencki ruch turystyczny charakteryzował się od swoich początków powiązaniem z tradycjami narodowymi, kulturowymi, oznaczonych w kalendarzu polskiego roku obrzędowego zarówno świeckiego jak i religijnego.

Krzysztof analizował fakty zapisane w dawnych wspomnieniach i dokumentach opisujących turystyczne zdarzenia w przełamującym obyczajowe schematy lwowskim środowisku przez zaledwie kilkusetosobową grupę studentów kilku tamtejszych uczelni. Nie zdawali sobie sprawy, że tworzą początki wielkiego rozdziału polskiej turystyki, że kształtują zręby polskiej kultury rekreacyjnej i pomnażają o nowe dokonania polskie krajoznawstwo. Wypada dodać, że Homo sapiens w swej istocie to Homo peregrinus est. Nasze życie to wędrówka, dążenie do jakiegoś celu, często nieświadomionego w realiach, w najprostszej formie to tylko pokonywanie przestrzeni w jakimś czasie od przysłowiowego punktu „a» do punktu „b», czyli niewiele w tym wielkiej filozofii, ale naturalna ludzka ruchliwość.

Kto wędruje (choćby tylko „palcem po mapie» i tylko marzy o dalekich łądach, krajach i morzach), jest bogatszy po stokroć od osobnika gnuśnego, zasklepionego, bliskiego zapleśnienia umysłu. Taki tylko wegetuje w ograniczonej przestrzeni i na płyciźnie własnych, jednobarwnych i nieskomplikowanych myśli i dokonań. Nie wyznaje i nie hołduje zasadzie „ruszaj się, bo zardzewiejesz.» W hymnie – piosence symbolicznej, swoistym hymnie „Unikatu» są słowa: „... gdzie nas nie było, tam będziemy... «, czyli „to jest to».

Mimo pozornej rozbieżności naszych krajoznawczych ścieżek, w bliżej nieokreślonym momencie spotkał się „na rozległym polu Orłowicza». Krzysztof poszukiwał faktów w dawnych sprawozdaniach AKT i porównywałam swoją wiedzę – niewiedzę. Krzysztof miał nade mną przewagę – bywał często we Lwowie, tropiąc dzieje AKT, ja takich podróży w przeszłość na dawne galicyjskie polskie kresy już nie mogłam przedsięwziąć. Ostatecznie w moich zbiorach i jako ilustrację do mojej książki „Dzieło Mieczysława Orłowicza» (trwa proces wydawniczy!) dostałam od Krzysztofa fotografię wielkiego gmachu dawnej Politechniki Lwowskiej, mało znanego miejsca narodzin AKT, ale poza tym sławnego dzięki licznym sukcesom jej wychowanków, twórców wielu dzieł w wielu dziedzinach polskiej techniki inżynierskiej.

W takim osobliwym trybie doszło do koleżeńsko – autorskiej niespisanej umowy odnośnie publikacji naszych prac: Krzysztofa o dalekich wyprawach AKT i mojego opus magnum, czyli licznych publikacji zawierających faktograficzną wiedzę o tym, czego w ciągu 55 lat twórczego życia dokonał Orłowicz. Niewiele zabrakło do publikacji opracowania Krzysztofa w serii wydawnictw wspomnianej wcześniej Fundacji Komisji Historycznej Ruchu Studenckiego i Zespołu Historii Turystyki Studenckiej. Obydwaj zamierzaliśmy dorzucić okruchy i fakty do wielkich dzieł polskiej kultury fizycznej, turystyki i historii krajoznawstwa.

Nigdy nie miałem okazji spytać Krzyśka, jakie piosenki lubi, jakie są dla niego ważne, jakie sobie przypomina (jeśli ???), jadąc długo samochodem. Ośmielałam się tu napisać, że na pewno uważał, że piosenka pomaga, rozwesela, wyzwala uśmiech, zachęca do patrzenia tylko do przodu. I chociaż – jak twierdzili **Jeremi Przybora** i **Jerzy Wasowski** – Starsi Panowie Dwaj: *Już szron na głowie, już nie to zdrowie, a w sercu ciągle maj* to pokuszę się o dodanie, że piosenka turystyczna, rajdowa, biesiadna, wycieczkowa, ta z posiadów przy studenckim rajdowym ognisku – pomaga jak wspaniały, niemal boski eliksir, upiększa **świat**.

Piosenka turystyczna dodaje kolorów do naturalnych walorów okolicy, w której odbywa się zbiorowe rajdowe wędrowanie. Właśnie piosenki są na poły żywym, na poły martwym dodatkiem do przygody z przestrzenią w naszym kraju, zwłaszcza na Suwalszczyźnie, choćby nad Wigrami, ale też i gdziekolwiek poza nimi. Ahoj,

Krzysku, zbieraczu śpiewanek, piosenek tych ze szlaku, z biwaku, zapamiętanych jako pamiątki z wędrowki i rajdowej przygody.

Do historii polskiej turystyki, a także polskiej jakże najczęściej wątlej kultury śpiewaczej, Krzysztof dopisał znaczący rozdział dokumentujący wielki rozdział naszej kultury muzycznej i poezji zwanej śpiewaną. Pięć tomów „Piosenki turystycznej” autorstwa Krzysztofa z lat 2017-2023 to utwory całkiem nieznanego zawodowemu historykom muzyki i jej połączenie z twórczością licznych poetów amatorów. Dzieło osobliwe i godne podziwu dla autora – o ile mi wiadomo z obawą o popełnienie błędu – bez specjalistycznej wiedzy muzykologicznej i z zakresu literatury poetyckiej.

Nielicznym postronnym wiadomo, że najbardziej znane spotkanie z piosenką turystyczną znacznie dłużej niż pół stulecia trwa w zbiorowej turystycznej pamięci i rozbrzmiewa nad potokiem Kamieńczyk w Szklarskiej Porębie, w sławnej studenckiej „Bazie pod Ponurą Małą”. Zaczęły się te koncertowe popisy muzyków i poetów amatorów z inicjatywy wrocławskiego Akademickiego Klubu Turystycznego od 1968 roku. Ostatnia impreza to po raz 55. zorganizowana Ogólnopolska Giełda Piosenki Turystycznej. Jeśli się nie mylę – Krzysztof wziął w niej udział, spotykając wielu bohaterów swoich „piosenkowych” dokumentalnych publikacji. Wypada też wspomnieć dla rzetelności kronikarskiej o podobnych przeglądach, giełdach, koncertach i festiwalach piosenki w Gdańsku, Łodzi, Poznaniu, Warszawie (wykaz do uzupełnienia)...

Niestety, nasze przyjacielskie, ale jak najbardziej robocze spotkania i nasze prace poświęcone historii i tradycjom turystyki studenckiej / akademickiej przerwały objawy coraz bardziej słabnącego Jego zdrowia i coraz silniejsze dolegliwe cierpienia. Takim siłom i słabościom ludzkiej natury nawet silny charakter Krzysztofa i uzbrojona w metody, środki, medykamenty, technologie leczenia dzisiejsza, często kulawa, medycyna nie pomogła słabnącemu organizmowi. Nie zdołały razem czy osobno odnowić siły i uratować przed tym, co wszyscy znamy z treści słowa „ostateczne». Medycyna kolejny raz przegrała z naturą.

Mimo wszystko Krzysztof zostanie z nami we wspomnieniach z osobistych kontaktów z wieloma z naszego klubowego towarzystwa, w naszej osobistej i zbiorowej „Unikatowej» pamięci. Jeśli zapomnimy o takich osobach jak Krzysztof, zapewne inni zapomną też o nas.

Pamięć nie jest rzeczą, kawałkiem jakiejś nie-materii, nie-przedmiotem. Na pewno jest niematerialnym obowiązkiem każdego, kto ma świadomość i wie, czym jest upływający czas, czyli nasze życie. Pamięć jest częścią naszego myślenia o innych, stanem naszej świadomości i zarazem empatii wobec bliskich i dalekich. W odniesieniu do każdego, komu zawdzięczamy bliskość, wspólne – jak w przypadku z Krzysztofem – tę niewielką odległość zawdzięczamy wędrowaniu. Takiej bliskości i symbolicznego w powiązaniu z realiami „braterstwa dusz» nie da się zamienić na cokolwiek innego, choćby podobnego. Jeśli nie będziemy mieli absolutnie nic – pozostaną tylko wspomnienia o przyjaźni i przyjaciółach.

Pamięć to wielkość niezmierna. Pamięć to najbardziej ludzki obowiązek. Pamiętanie nie zna upływu czasu. Pamiętanie to najpierwsza cecha człowieczeństwa. Pamiętanie to obowiązek krajoznawcy. Poznawaj swój kraj, by o nim pamiętać. Zaduszki – dzień pamięci o tych, którzy odeszli, to święty czas czczony od ponad półtora tysiąca lat. Pamiętanie to cecha naszej tożsamości. Jeśli uznamy zasadę unikania zadłużania się wobec osób dalszych i bliskich oraz wystrzegania się obojętności na ich losy, musimy i powinniśmy najdłużej – jak to możliwe – pamiętać o tych, co „się minęli».

Ahoj, przygodo na szlakach wielkich i małych wędrowek: bez Krzysztofa już zimą zaczęła się wiosna, ale gdyby był, to na pewno poszlibyśmy tradycyjnie na jakąś „imprezkę», wspominając „Kronikę olsztyńską» Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego: „Jutro popłyniemy daleko, / Jeszcze dalej niż te obłoki. / Pokłonimy się nowym brzegom, / Odkryjemy nowe zatoki. / Nowe ryby złowimy w jeziorach, / Nowe gwiazdy znajdziemy na niebie. / Popłyniemy daleko, daleko, / Jak najdalej, jak najdalej przed siebie. / Starym borom nowe damy imię, / Nowe ptaki znajdziemy i wody. / Posłuchamy jak bije olbrzymie / Zielone serce przyrody». I niech tak się dzieje także bez Niego.

**Tomasz Kowalik**

\**Orkiestrowy solista. Krzysztof Łopaciński w naszych piórkach*, red. Tomasz Dziedzic, Warszawa: Fundacja Ogólnopolskiej Historycznej Komisji Ruchu Studenckiego, 2024, ISBN 978-83-8122-077-4



## Suplement do „Źle się dzieje na Przehybie”

**P**przedpołudniem 5 września 2024 przed schronisko na Przehybie zajechał... autobus. Zdaje się, że została przekroczona kolejna granica. Pewnie przywiózł kolejnych „uprzywilejowanych”, może jakichś działaczy, albo badaczy na spotkanie, konferencję, czy warsztaty. Czy oznacza to, że teraz już każdy dostanie pozwolenie na przejazd drogą z Gołkowic do schroniska? A może droga została otwarta dla zwykłych śmiertelników? A może żadne pozwolenie nie jest potrzebne? W każdym razie ktoś chyba mocno przegiął.

Niedziela 8 września. Obserwuję teren przed schroniskiem pokazywany przez tamtejsze kamery. Samochody wjeżdżają jeden za drugim, o godz. 13-tej jest ich tam grubo ponad 50, może nawet ok. 80, ustawiane są w trzech rzędach, są także motocykle i skutery, ruchem na polanie kieruje jakiś strażak, wjeżdża (po)wojskowy STAR. O godz. 14-tej stoi już chyba setka samochodów. Zaglądam ponownie ok. godz. 16-tej. Samochody wciąż dojeżdżają, w tym nieduży autobus, dwa samochody Straży Pożarnej. Kurz, spaliny, ciągły ruch, między samochodami kręcą się ludzie. Co się tam dzieje! Czy górską grzbietową polana ze schroniskiem to miejsce na jakieś masowe zmotoryzowane imprezy, czy ktoś złamał przepisy Ustawy o lasach pozwalając na masowy wjazd pojazdów silnikowych drogą wyłączoną z ruchu publicznego? Zakaz wjazdu znajduje się przed leśniczówką Kadcza, tamże parking.

Na stronie Internetowej **Nadleśnictwa Stary Sącz** czytamy: *Zasady udostępniania lasów są precyzyjnie opisane w rozdziale 5. Ustawy o lasach. Wynika z niej, że ruch motorowerem, pojazdem silnikowym (samochodem, motocyklem czy quadem), a także zaprzęgiem konnym dopuszczalny jest tylko drogami publicznymi. Każdym pojazdem można wjechać do lasu drogą leśną tylko wtedy, gdy jest wyraźnie ona oznaczona drogowskazami dopuszczającymi ruch (np. wskazany jest kierunek i odległość dojazdu do miejscowości, ośrodka wypoczynkowego czy parkingu leśnego). Nie dotyczy to inwalidów, którzy poruszają się pojazdami przystosowanymi do ich potrzeb. Wszystkie te przepisy nie dotyczą pracowników nadleśnictw w czasie wykonywania obowiązków służbowych, właścicieli lasów w ich własnych lasach, osób wykonujących i kontrolujących gospodarkę leśną, służb ratujących zdrowie i mienie ludzkie (policja, straż pożarna, pogotowie ratunkowe), myśliwych wykonujących zadania gospodarcze oraz właścicieli pasiek zlokalizowanych w lasach.* Jak wiadać czarno na białym w przepisach Ustawy **NIE MA MOWY I UDOSTĘPNIANIU DRÓG LEŚNYCH (a taką jest droga Gołkowice – Przehyba) NA IMPREZY MASOWE.** Albo jest jakieś prawo, albo go nie ma, prawda?

Tu przypomnę co napisałem całkiem niedawno, choć to cytat sprzed lat w odniesieniu do ruchu samochodów na drodze Gołkowice – Przehyba po równie masowym wjeździe samochodów na Przehybę.: „Dlatego dyrektor Popradzkiego Parku Krajobrazowego Tadeusz Wieczorek zapowiada zorganizowanie spotkania z szefami nadleśnictw, by wyjaśnić doniesienia o łamaniu przepisów wynikających z ustawy o lasach. Przepisy mówią jasno, że do lasu nie mogą wjeżdżać pojazdy z silnikami spalinowymi”.

Wyjazd z Przehyby to warokot silników, jedno kłębowisko spalin i kurzu, a trawa na polanie po masowej zmotoryzowanej imprezie zamieniła się w klepisko. Czy ktoś zastanowił się, jakie szkody w środowisku przyniósł ten najazd? Chyba nie.

Chyba nie.

*Juliusz Wystouch*



**Na Przehybie 8 września. Źródło: strona internetowa schroniska**

# SUDETY W POEZJI (22)

(Z dzieła *Sudety w poezji, wybór tekstów XVII-XX w.*, opracowanego przez Przemysława Danielewskiego oraz Piotra Dacko, Elżbietę Książek i Witolda Papierniaka, z 1986 r.)

Jan Koprowski

## KARKONOSZE

Śnieg zasypuje styczeń,  
ciebie i mnie,  
Karkonosze,  
Polskę.

Dawno nie widziałem takiej zadymki.  
Podobno ostatnia była w XIX wieku,  
ale najstarsi jej nie pamiętają.  
Świerki szumią całym swym szumem,  
trzeszczą jodły pod suchym niebem,  
pekają graby.

Muflony wychodzą na żer,  
nic nie znajdują,  
uciekają  
w pośpiechu.

Strwożona sarna stoi wśród jedlin,  
zając strzyże uszami,  
kluczy,  
z sił opada.

A my patrzymy w okno,  
pod piecem trzaska ogień,  
i mówimy:

„Jaka piękna zima w Karkonoszach!”

(Z tomu „Swoje i bliskie”)

**Jan Koprowski** (1918-2004), poeta, prozaik i tłumacz literatury niemieckiej. Studiował na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Debiutował w 1934 r. na łamach prasy jako poeta. Ogłosił w 1936 r. tom poezji „Do mojej ziemi”. W okresie wojny był na robotach przymusowych w Niemczech. Po wojnie pracownik Wydziału Konsularnego Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie. Po roku 1948 mieszkał w Piechowicach, a od 1950 w Łodzi. Kierownik literacki łódzkiego Teatru Nowego, redaktor czasopism literackich „Łódź Literacka”, „Kronika”, „Odgłosy”. Otrzymał w 1966 r. nagrodę literacką miasta Łodzi. Od 1972 r. mieszkał w Warszawie, gdzie był redaktorem tygodnika „Literatura”. Wydał m.in.: „Powrót” (wiersze, 1945), „Droga do Warszawy” (wiersze, 1946), „Do mojego syna” (wiersze, 1947), „Opowieść o moim ojcu” (biografia, 1950), „Arkusze poetycki” (1950), „Nowa ziemia” (wiersze, 1951), „Pejzaże polskie” (wiersze, 1951), „Sprawa Marcina Piechoty” (powieść, 1951), „W tym kraju” (wiersze, 1958), „Strumień życia” (opowiadania, 1960), „Studnia przeszłości” (wiersze, 1961), „Z południa i północy” (reportaże, 1963), „Powrót do kraju” (wspomnienia, 1964), „Podróże po bliskiej Europie” (reportaże, 1965), „Ludzie i książki” (szkice literackie, 1965), „Potomkowie Tespisa” (powieść, 1966), „Swoje i bliskie” (wiersze, 1968), „Teraz i zawsze” (opowiadania, 1968), „Na Wschodzie i na Zachodzie” (reportaże, 1970), „Zielone drzewa” (opowiadania, 1972), „Dzień powszedni literatury” (szkice literackie, 1972), „U nas i gdzie indziej” (szkice literackie, 1975), „Nocne rodaków rozmowy” (wiersze, 1975), „Wieczór w Cafe Rajmund” (opowiadania, 1975), „Wieczory rodzinne” (opowiadania, 1977), „Przyjaciele i znajomi” (szkice literackie, 1977), „Joseph von Eichendorff – ostatni rycerz romantyzmu” (biografia, 1995).

Wybrał: Janusz Fuksa

## \*NA SZLAKU\* - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.  
Magazyn odznaczony „Złotą Honorową Odznaką PTTK” w 2002 r. oraz Odznaką Honorową „Za Zasługi dla Turystyki” przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:  
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**  
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**  
Korekta: **Zofia Wiatrak**  
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: Juliusz Wysłouch, Krzysztof Tęcza,  
Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa,  
Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Piłk,  
Jacek Mielcarek, Sebastian Jakobsch, Mirosław J. Barański



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca  
i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów,  
przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

**Przedruki tylko za podaniem źródła.**

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu  
i reklam wewnątrz numerów  
na odrębnie uzgodnionych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931